№ 35 Warszawa, dnia 16 (28) Sierpnia roku 1880.



TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop 50. Numer pojedyńczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3 na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 c 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwar. w miejscu złr. 2 c. 75 na prowincyi złr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Chmielnej Nr. 1530 (nowy 20).

Z WYCIECZKI

Na Święty Krzyż i w Kieleckie.

Kilka wspomnień

spisał

Juliusz Chodorowicz.

(Dalszy ciąg).

Na drugi dzień jedziemy na górę św. Katarzyny. Dziarski Józek, wymijając co krok zdążających na odpust wieśniaków okolicznych, wciąż krzyczał „wišta“ i „na bok“ jak wypadło. Przez Pawłów, Święto-Marze, miluchną wioszczynę z kościołkiem, mianem swojem i pochodzeniem potężną boginią Sławian-Morenę czyli Marzannę przypominającą, i wiele innych jeszcze przysiołków i folwarczków, jechaliśmy ku Bodzentynowi. Ranek był piękny i ciepły, zbudzone ze snu skrzydlate chóry śpiewaków prześcigały się w rajskiej piosence... niekiedy ozwał się z pod lasu tęskny głos pastuszej ligawki. Tuż przy gościńcu bogate łany Ś-to Krzyzkiej pszenicy kołysały się od podmuchu wietrzyka.

— Wesołą mamy drogę, cóż to za orszak pobożnych? zagadnąłem naszego parobczaka. I to wszystko do Święto-Marza?

— A ino? uśmiechając się, odrzekł chłopak. Luda tu dziś będzie jak piasku w morzu... Nabożeństwo śliczności, ale i bójek nie zbraknie...

— Co znowu — w świętem miejscu?

— O la-Boga! toć przecie po nabożeństwie!... karczmy i bójki, to chłopu nie szukać... drugi to chory jak się nie wytuzuje, i jął mi opowiadać epizot jakiś, w którym mu przypadła rola bohatera.

Słuchając rozprawy Józkowej, anim się spostrzegł gdyśmy się już znaleźli na grobli, tuż pod samem miasteczkiem. Z wysokiego tylko wzgórza nad Psarką, niewielką dziś rzeczułką, zaimponowały nam, ruiny zamku Biskupów krakowskich. Składał się ongi zameczek z dwu części: jedna z nich opasana była murem i wzmocniona basztami, szczątki których pozostały dotąd. Wiadomo iż Bodzentyn v. Borzęcin, pierwotnie wieś, należąca do Biskupów krakowskich, przekształconym został w XIV w. przez Biskupa Bodzantę-Jankowskiego w miasteczko, które tenże od imienia swojego nazwał Bodzentynem. Do końca XVIII w. Bodzentyn własnością był pasterzy krakowskich, którzy tu nawet przesiadywali niekiedy. Przystanąwszy trochę na grobli, poglądaliśmy na wspaniałą niegdyś rezydencyą, taką dziś ruderę straszliwą... świadczy ona mimo to, o bogactwach i znaczeniu dawnych swych właścicieli.

Wjechaliśmy wreszcie do miasteczka. Cóż wam tu o niem powiedzieć? Kilkaset mieszkańców rolnictwem i rzemiosłem trudniących się, kałuże i wyboje bruk takiż jak w Słupi... ot i wszystko! Ale... ale... byłbym zapomniał. Bodzentyn posiada ulice o nazwach przeróżnych...

Jedna nazywa się ulicą Wieczności!

— Co? ulica „Wieczności“? zawołałem.

Patrzę na napis, wyraźnie stoi „ulica Wieczności“. Uśmiawszy się serdecznie, dostajemy się na rynek. Omszała ze starości, w XVII wzniesiona wieku, na wysokim piedestale, kamienna statua ś-go Floryana, najpierw rzuca się nam w oczy. Widocznie, mężny ów wyznawca Chrystusowej wiary, patronem jest miasteczka. Ruch jeszcze niewielki na rynku... żydkowie otwierają sklepy... uwija się kilka przekupek z jarzynami... Dążymy do jedynego tu handelku, utrzymywanego przez chrześcianina... na szklankę herbaty.

Srebrny głos dzwonka zwołuje wiernych, stajemy na cmentarzu kościelnym. Rozglądamy się do koła. Przed nami nagrobek w kształcie urny. Po za tą symboliką, czytamy napis:

„Przechodniu! rzuć okiem na te głazy
Spoczywające pod niemi społy...
Te są życia ludzkiego obrazy:
Ojca, matki, złożone popioły.
Gdy twe serce kruszę,
Westchnij za ich duszę“.

Bogaty zapewne mieszczanin tutejszy, rymem, w wieczystej z muzą rozterce, uczucia synowskie współ-obywatelom tłomaczy. Więzimy je ołówkiem na kartce pugilaresu. Po co? spytacie... Toć że jeden jeszcze z wielu napisów po starych świątyniach i cmentarzach.

Po wysłuchaniu mszy św. zabraliśmy znajomość z kanonikiem. Po krótkiej gawędce zaprosił nas staruszek do zakrystyi.

— Mamy tu kilka pięknych obrazów w kościele, mówił z przejęciem się, ale co tutaj, jest już chyba co widzieć!... i odsłonił olbrzymi ołtarz składany. Szacowny to zabytek sztuki, moi panowie... Znakomite dzieło malarskie nieznanego artysty z XV jeszcze wieku!

Obraz w istocie kolosalnych rozmiarów, przedstawia w nader oryginalnym układzie Najświętszą Pannę w otoczeniu rodzinnem w różnych życia chwilach. Co za żywość kolorytu, jakże odrębny wyraz fizyognomii każdej z tylu nagromadzonych tu osób!

— Mistrza tu czuć, panie, rzucił słówko kanonik, w każdym strychu. A przytem wiara go ożywiała...

— Wspaniały to w istocie zabytek religijnego malarstwa średnich wieków...

— Różni tu już bywali w kolegiacie naszej; przerwał mi ksiądz, oglądali skarb nasz i miary nie było podziwom. Przyjeżdżał kilka lat temu hr. Potocki z Krakowa i jemu przypadło też do smaku sta-

re malowidło. Dwadzieścia tysięcy dukatów dawał za obraz do swojej galeryi, to nie żarty!

— Poważna to już cena, i cóż? spytałem kanonika.

— Został na miejscu, jak szanowni panowie widzicie, odparł starzec. Naprzód że nie nasza to własność lecz kościelna... Ktoby tam świętemi frymarczył pamiątkami? Przysłał potem hrabia malarza jakiegoś z Krakowa, dla zdjęcia kopii z obrazu, rozumie się.. Sporo siedział tu czasu artysta.. praca bo też, nielada praca była. Już to Bodzentyn, dodał z uśmiechem, pokrewny ze sztuką... malarze nawet rodzą się u nas... a Szermentowski?

— A... szkoda go wielka dla sztuki... umarł tak młodo!...

— Znaliśmy go dobrze... pejzaże mam nawet jego. Co rok przybywał tu w odwiedziny do matki i do familii... poczciwy nasz Szermentowski... i westchnął starowina.

Obejrzeliśmy jeszcze z kolei obraz Św. Trójcy w wielkim ołtarzu i kilka nagrobków w kościele, aż wreszcie pomnik Franciszka Krasińskiego, Biskupa Krakowskiego i Podkanclerzego koronnego, zatrzymał nas dłużej przy sobie. W szarym wykuty marmurze, z portretem Biskupa i herbem na frontonie, śliczny to zaiste pomnik, mogący zdobić i najwspanialsze świątynie w kraju. Obszerny i wyczerpujący napis na marmurze, złotemi wytłoczony literami, tak już zatarty, iż raczej domyśléć się, niż odczytać go można. Podkanclerzy Krasiński, znakomity to mąż stanu w XVI wieku, prawa ręka Zygmunta Augusta i Stefana Batorego królów, którzy go do wielu poselstw zagranicznych i spraw najważniejszych w kraju używali. Niepospolitą odznaczył się też Biskup działalnością w sprawie Unii na sejmie Lubelskim 1569 r. *Lumen* rodu swojego pierwszy, Franciszek Krasiński podniósł znaczenie familii w Rzeczypospolitej. Ur. 1522 † 1577 roku w Bodzentynie, gdzie zwłoki jego dotąd spoczywają. Odnalezione niedawnemi czasy w grobie Podkanclerzego insygnia kapłańskie: kielich i patynę, przesłał kanonik tutejszy ordynacyi Krasińskich, do Warszawy. W zamian czego obok serdecznej podzięki, otrzymał szczerozłoty, wysokiej wartości kielich dla kościoła i parę jeszcze kosztownych podarków. Stara kolegiata Bodzentyńska erygowana 1453 r. przez Zbigniewa Oleśnickiego, trzyma się jeszcze jakoś. Oby jak najdłużej, wybierał się proboszcz z wijatykiem do chorego, i my też puściliśmy się w dalszą drogę, do św. Katarzyny. Towarzysz mój pod wpływem mglistych legend, wspomnień z przeszłości, odczytywanych wszędzie napisów grobowych i t. p. z wesołego myśliwca, w literackiego przeradzał się powoli szperacza. Milczał, zamyślony, suche jeno powtarzając sobie daty i zestawienia.

— Co za knieja! otożby tu zapolować... a muszą być zające? podbijałem mu bębenka po drodze.

— Kopami... wierzaj mi.. Cóż, kiedy nie ma fuzyjki! i zaśmiał się, aż echo odbiło się w boru. Toć Ś-to Krzyżka puszcza!

— Dalekoż jeszcze do św. Katarzyny?

— Z pół milki... (d. c. n.)

Vivat unus defensor Mariae!

stara gawęda

przez

Ludwika Niemojowskiego.

Byłem ongi dziarski młodzian
W ułański mundur przyodzian:
Wzrok sokoli, mina dyabla,
Zapał w sercu, w ręku szabla,
Szło się w ogień jak na gody;
A choć huk dział brzmiał dokoła,
Furda! bo gdy człowiek młody,
Żyć lub umrzéć jedno zgoła.
Pod dowództwem bohatéra,
Co trząsł Europy losy,
Zdobyliśmy Samo-sierra,
Dotarli do Saragossy...

Raz półkownik krzyknie: „Zuchy!
Dość już trudów, biedy, znoju,
Spocząć trzeba dla otuchy
By zaczerpnąć sił do boju;
A ot pono zamek granda
Z chorągwią na baszcie białą:
Zakołaczcie, tam speranda
Strudzone pokrzepić ciało."
Otworzono, z bladem czołem,
Miną butną i zuchwałą,
Grand nas wita, i za stołem
Sadowi drużynę całą.—
Zajęliśmy w okrąg ławy,
Służba tokaj leje w szklanki,
Więc wśród śmiechów, krzyków, wrzawy,
Hejże bracia do hulanki!

Kompanię składały draby
Różnorodnych świata nacyi:
Franki, Węgry, Włochy, Szwaby,
Z Drezna, Pesztu i Dalmacyi.
Ja zaś wśród tych krańczyn świata,
Byłem w półku między niemi,
Niby jedyny Sarmata,
Na mazowsza zrodzon ziemi...
Tandem tedy, miły bracie,
Jak nie chwycą za butelki,
Takci w onej alternacie,
Harmider zrobił się wielki.—
Tłuką szkło, misy, talerze,
Tupią, wrzeszczą, jedzą, piją,
A klną! aż strach człeka bierze:
„Sakre! Donner! Corpo dio!"

Grand zda się nie zważać na nic,
Siedząc z wesołą drużyną,
I tylko wśród brzęku szklanic,
Wciąż nalewa w czary wino:
Fizys jego blada, chuda,
Brew ponuro najeżona,
W migu oczów tkwi obłuda,
W ust uśmiechu złość stajona.
Mniejsza o to! wszak koleje
Życia zmienne, czyż kto zgadnie,
Porwan szałem co się dzieje,
U Hiszpana w duszy na dnie?
Próżno badać — więc myśl pusta,
Myśl bezbożna w głowach rośnie,
Więc bluźnierstwo kala usta,
Więc śmiech twarz wykrzywia sprośnie...

Jakiś Francuz wstawszy z ławy,
Plunie słowem strasznem, dzikiem,
A tłum wyraz ów plugawy,
Radosnym przyjmie okrzykiem,
I przywtórzy. Boże święty!
Łask szafarzu w smutku chwili,
Chryste chwałą niepojęty,
Oni Matce Twej bluźnili!

„Milczcie!... krzyknę", a gdy który
Słówko piśnie, klnę na piekło
Że pochwycę go w pazury
I jak bestyę zduszę wściekłą!...
Ten i ów za oręż chwyci,
Ale wkrótce osowiali,
Zawstydzeni, z toru zbici.
Bez przechwałek piją dalej,
Hiszpanowi oko błyska,
Gniew stajony ćmi źrenice,
Lecz w milczeniu wargi ściska,
I nalewa wciąż szklanice;
W czarach nektar szumi zdradnie,
Więc hulamy choć sen mroczy:
Tu łeb ciężko na stół spadnie,
Tam się cielsko w proch potoczy...

I jam legł. Czas minął długi,
Brzask poranny walczy z nocą,
A na wschodzie jasne smugi
Światła, błękit nieba złocą.
Rozbudzony wstaję z ławy:
Grand gdzieś zniknął, a pod stołem
Szermierze uczty plugawej
W śnie zgrążeni leżą społem.
„Wstawać! wołam", już dzień błogi
Wynurza się z mroków fali;
Hej! kamraty — hej! na nogi!
Czas nam w pochód ruszyć dalej."

Nic... milczenie... Boże święty!
Czyliż żaden z nich nie słyszy?...
Krzyknę dziwną trwogą zdjęty,
Pośród tej grobowej ciszy...
Pot mi zimny zwilża skronie,
Krew zastygła w pierś się skupia,
Bratnią rękę chwytam w dłonie,
A ta ręka martwa, trupia!...
To mord straszny! Hiszpan zdradnie
Pragnąc wrogów zgnieść ojczyzny,
Nalał czary w których na dnie,
Tkwił zabójczy jad trucizny!
Jam żyw jeden... cóż się stało
Iż wróg szerząc śmierć nikczemną,
Z zawziętością tak zuchwałą
Ulitował się nade mną?
Czyż me życie więcej warte
Niźli innych? Niepojętą
Czując łaskę, widzę kartę
Na ramieniu mem przypiętą,
A na karcie, ja bohatér
Pośród martwych, rad że żyję,
Wyczytałem: „Vivat frater,
Unus defensor Mariae!.."

SAMUEL BROHL I SPÓŁKA.

przez

Wiktora Cherbuliez

przekład

Elizy Rostworowskiej.

(Dalszy ciąg.)

IX.

Wyrok wydany przez panią de Lorcy zmartwił pana Moriaz, ale go nie zniechęcił. Osądził że mimo wszystkiego, ostrożność jest niezłą rzeczą, że jeźli obowiązkiem jest, znosić troski cierpliwie, wolno osładzać sobie złą dolę, a także wolеć szaleństwa częściowe, niż zupełne. Mamy czas za sobą, poradzimy wszystkiemu, mówił Filip II, pan

Moriaz był pokorniejszy, myślał sobie: przeciągnąć rzeczy ile możności, radzić się swego rejenta, rozmyślać, oto najlepsze pomocnicze środki w małżeństwie któremu nie możemy zapobiedz. Rejent budzący tyle zaufania w panu Moriaz, został właśnie wezwany do Włoch, dla załatwienia tamże ważnych interesów. Trzeba było czekać jego powrotu trzymając wszystko w zawieszeniu.

Rozmawiając o tem z Antoniną, pan Moriaz znalazł ją bardzo dobrze usposobioną dla swoich planów. Zanadto mu była wdzięczną za tak łatwe pogodzenie się z losem aby się niecierpliwić; miała za sobą wielką wygranę, to też poboczne okoliczności mało ją zajmowały.

— Posądzają cię o wybryk rozbujałej wyobraźni, rzekł do niej ojciec. Nie zwracasz uwagi na to co ludzie mówią, nie dbasz o opinią publiczną, ja jestem czulszy pod tym względem. Zachowajmy przynajmniej pozory, niech nie powiedzą że się nadto spieszymy, że się z tym ukrywamy, działajmy rozważnie i rozsądnie. Obecnie nie ma jeszcze nikogo z naszych znajomych w Paryżu, czekajmy na powrót przyjaciół. Przedstawimy im hr. Laryńskiego. Wybór twój będzie chwalony przez jednych, ganiony przez drugich: pan Laryński ma dar podobania się, będzie się podobał, i wszyscy wyrozumią moją słabość, którą pani de Lorcy potępia jak zbrodnię.

— Obiecałeś mi ojcze że będziesz weselszy, a tymczasem widzę cię trochę zanadto poważnym.

— Nie możesz przecież żądać abym był upojony radością.

— Czy przynajmniej zgodziłeś się już z losem i nie zmienisz zdania?

— Obiecuję ci że nie.

— Uszanujemy twój sposób zapatrywania się na rzeczy, rzekła i odtąd na każde żądanie ojca, niezwłocznie odpowiadała: amen.

Zdecydowano że ślub odbędzie się w ciągu zimy i że przez dwa miesiące, nie będzie mowy o załatwianiu formalności niezbędnych w podobnych wypadkach. Pan Moriaz oznajmił to Samuelowi, któremu plan profesora wcale nie przypadł do smaku. Nie okazał jednak najmniejszego niezadowolenia. Odpowiedział panu Moriaz, że będąc jeszcze w pierwszem upojeniu szczęścia, rad jest zwłoce, pozwalającej mu rozmyślać nad doniosłością faktu, ale w głębi ducha obiecał sobie wynaleźć sposób przyśpieszający rozwiązanie. Lękał się nieprzewidzianych wypadków, burz, gradów i gromów, wszystkiego co mogło uszkodzić obfite żniwo, pilno mu było zebrać swoje plony i zamknąć je starannie w swoich śpichlerzach. Tymczasem fundusze jego wyczerpywały się z każdym dniem; uprzedzając ostateczność, Samuel napisał do dawnego przyjaciela pana Guldenthal list, jaki zwykle sprawia pewne wrażenie, pełen godności i zaufania. Pan Guldenthal uznając że dobre ożenienie, więcej warte jak zła strzelba, pomny przytem na akuratną wypłacalność Samuela, posłał mu natychmiast żądane pieniądze.

Miesiąc upłynął. Samuel Brohl trzy razy w tydzień bywał w Cormeilles. Wszyscy pokochali go tam całem sercem, potrafił się każdemu przypodobać, nawet angora przyjmowała go radośnie, może przez przeczucie, że w charakterze jego leżało wiele kocich wad i przymiotów. Gdy tylko przybywał, ona ocierała swój miękki włos o ręce jego i kładła się na kolanach Samuela. Jeden tylko wyżeł ulubieniec Antoniny, z ukosa patrzył na przybysza; gdy Brohl próbował oswoić go pieszczotą, pies warczał głucho, pokazywał zęby, za co zwykle czekało go surowe połajanie. Psy są stworzone na agentów policyjnych, mają dziwne przeczucia i wstręt do ludzi podejrzanych, dwulicowych, używających bezkarnie cudzego kredytu i cudzych papierów.

Co do panny Moiseney, która nie miała wcale wyźlego węchu, ta była zakochaną w tym szlachetnym, bohaterskim, nieporównanym hr. Laryńskim. Rozmawiając z nią raz na osobności, wyraził tyle szacuuku dla jej charakteru, tyle uwielbienia dla jej rozumu i nauki, że wzruszył ją do łez; po raz pierwszy w życiu widziała się zrozumianą. Co ją jeszcze bardziej rozrzewniło, to że Samuel prosił aby nigdy nie opuściła Antoniny, i aby dom który w krótce stanie się jego własnością, uważała za swój do końca życia. — Co to za człowiek! wołała razem z panną Galet.

Celem wszystkich usiłowań Samuela, było pozyskanie sobie łask pana Moriaz, którego się trochę obawiał. Po części udawało mu się to, a przynajmniej czuł że rozbraja jego złą wolę, przez swą zupełną bezinteresowność i całkowite poddanie się woli przyszłego teścia. Gdzie pani de Lorcy widziała w Samuelu lichwiarskie nawyknienia, gdzie dostrzegła ów znak krzyża oczyma czyniony? Jeśli zapomniał się w jej domu, pamiętał o sobie zawsze w Cormeilles. Nie dbał o dobra ziemskie, bujał po błękicie, niebo otwarło dlań swe podwoje; szczęśliwi są nadto przejęci i pochwyceni, aby patrzéć po za siebie i robić spis rajskiego inwentarza. Jednakże owo zachwycenie nie przeszkadzało Samuelowi w oddawaniu wszelkich możliwych usług panu Moriaz. Często prosił o pozwolenie towarzyszenia mu do pracowni. Pan Moriaz wyobrażał sobie, że właśnie poczynił niezmiernie pożyteczne odkrycia, na których czynił doświadczenia nie zawsze się udające. Przytem miał już ciężką rękę i ruchy za energiczne, często więc zdarzało się, że zruciwszy wszystko na podłogę, potłukł narzędzia na drobne kawałki. Palce Samuela były cienkie i zręczne, to też gdy przychodził w pomoc profesorowi, doświadczenia udawały się wybornie.

Pan Moriaz sądził dobrze samego siebie, gdy mówił, że lękał się opinii publicznej; w istocie była to jego słaba strona, czego zresztą trudno mu mieć za złe. Nie jest rzeczą łatwą, dogodzić ogółowi, niebezpiecznie lekceważyć sobie cudze zdanie, jak również poddać się tyranicznej władzy opinii; myli się ona zbyt często, ale te omyłki nawet, są niekiedy na prawdzie oparte, a w jej niesprawiedliwościach można czasem dopatrzéć odrobinę słuszności. Mędrzec powinien umiéć zamknąć się w sobie; nieszczęście jednak chce, iż częstokroć samotność taka paczy pojęcia i doprowadza do najsmutniejszych rezultatów.

Pan Moriaz tem więcej lękał się opinii publicznej, że przyoblekał ją w ludzką postać, 50-cio letniej kobiety, z zabytkami minionej piękności, z ostrym nieco głosem i szeroko rysującemi się brwiami, które często ściągała: były to brwi pani de Lorcy. Zawsze, przed każdą czynnością, zapytywał samego siebie: — Co o tem powie pani de Lorcy? Przyznawał sam, że ten wielki sędzia miał przesądy i uprzedzenia, ale rady jej cenił i zasięgał we wszystkiem, co nie dotyczyło chemii. Rad był jej uznaniu, lękał się nagany, niepokój go ogarniał na widok tych brwi ściągniętych. Ludzie którzy wiele pracują umysłowo, lubią posiadać spokój wewnętrzny, a gdy kolec wejdzie im w nogę, pragną wyjąć go co prędzej, lub o nim zapomniéć. Pan Moriaz usiłował wytłomaczyć samemu sobie, że hr. Laryński będzie bardzo przyzwoitym zięciom, którego będzie można śmiało pokazać w świecie, że nie potrzebował troskać się o przyszłość córki, a tem samem zaniedbywać swego laboratoryum. Choć zapał i uwielbienie panny Moiseney działały mu trochę na nerwy, sam uznał w głębi ducha, że ten Polak miał niektóre dobre strony i że można miéć dla niego uczucie szczerej przyjaźni, ale póki pani de Lorcy nie chciała pogodzić się z tą myślą, pan Moriaz nie mógł być zupełnie spokojny. Napisał do niej znowu, pojechał nawet odwiedzić zagniewaną przyjaciółkę, lecz nie otrzymał odpowiedzi i nie zastał jej w domu, a wizyta nie została mu oddana. Kobiety niełatwo godzą się z myślą o przegranej... Pani de Lorcy była śmiertelnie zagniewaną, że się pozwoliła wywieść w pole panu Laryńskiemu, i pod wpływem tej urazy zawy okowała, iż był on tylko zręcznym awanturnikiem. Sprzeczała się nawet z Kamilem Langis, który twierdził, że choć pan Laryński był wielkim aktorem, mógł też być prawdziwym hrabią; w swoich podróżach znał bowiem i hrabiów, którzy oszukiwali w kartach i bez skrypułu zabierali wygrane pieniądze. Role ciotki i siostrzeńca zmieniły się teraz, pani de Lorcy oskarżała Kamila o łatwowierność. Pisała powtórnie do Wiednia, w nadziei otrzymania ztamtąd nowych niekorzystnych objaśnień, lecz z tej strony oczekiwania jej zostały zawiedzione. Nie traciła jednak odwagi, wiedząc że pan Moriaz niełatwo mógł się obejść bez jej porady w ważnych zwłaszcza okolicznościach, obiecywała sobie w danej chwili, ostatecznie użyć swego wpływu.

Tymczasem doznawała prawdziwej przyjemności myśląc, o zakłopotaniu profesora.

Pewnego dnia pan Moriaz rzekł do córki:

— Pani de Lorcy widocznie gniewa się na nas, to mnie martwi. Czy nie powiedziałaś jej jakiego przykrego słowa, któreby ją obraziło? Będę ci bardzo wdzięczny jeśli pojedziesz ją odwiedzić.

— Niebardzo przyjemne dajesz mi polecenie mój ojcze, ale że nie chcę nic ci odmówić, pojadę do niej jutro.

W tejże chwili pani de Lorcy, przepędzająca dzień w Paryżu, wchodziła do sali w której mieściła się wystawa obrazów. Zebrane tam arcydzieła sławnego malarza, który zmarł przed niedawnym czasem, sprowadzały wielką ilość ciekawych. Pani de Lorcy przebiegając sale, spostrzegła w tłumie niską sześćdziesięcioletnią kobietę, z niekształtnym nosem, małemi szaremi oczkami, z których tryskała złośliwość i śmiałość. Szła z podniesioną głową, z lornetką w ręku, rzucając na wystawione obrazy pogardliwe spojrzenia.

— Ah! doprawdy to księżna Gulof, pomyślała odwracając się szybko. Przed trzema laty bawiąc w Ostendzie, pani de Lorcy poznała księżnę. Traf zbliżył ją do tej kapryśnej i dumnej kobiety, lecz wspomnienie jakie księżna zostawiła w umyśle pani de Lorcy, nie było z najprzyjemniejszych.

Księżna Gulof była żoną pewnego gubernatora, za którego wyszła, po długich latach poprzedniego wdowieństwa. Ale para małżonków nie często się widywała, lecz za to korespondencya ich była podtrzymana stale, książe przed każdem ważniejszem przedsięwzięciem zasięgał porady od żony, ufając w jej rozum i trafność sądu. W pierwszych latach małżeństwa, popełnił on wielką nieostrożność, był w żonie szczerze zakochany. Są po świecie kobiety piekielnie brzydkie, które wzbudzają niekiedy szalone namiętności. Księżnej, uczucie to nie przypadło wcale do smaku, weszła w układy z małżonkiem i odtąd harmonia nie została więcej zachwianą gdyż przestrzeń całej Europy, dzieliła ich zwykle, a jedynym między nimi łącznikiem, była poczta przewożąca listy.

Księżna nie lubiła się krępować, wszelkie zasady moralności, uważała za urojenie, nie kryła się z tem wcale, miała zwyczaj wyrażać głośno swe myśli. W gruncie rzeczy wybryki jej były tylko gwałtownemi kaprysami, burzliwą ciekawością, której

chciała zadość uczynić. Żądną była coraz to nowych odkryć, nowych doświadczeń; spotkało ją w życiu wiele zawodów, po których osądziła, że mężczyźni w ogóle, są bardzo mało warci. Przechodziła niezmiernie szybko z jednego doświadczenia w drugie, przed skończeniem książki wrzucała ją do kosza, pierwszy rozdział wystarczał jej zwykle, przedmowy zaś, nigdy nie czytała. Jednakże pewnego razu, przyszła jej fantazya długo trwała, która z czasem stała się dla niej bardzo drogą. Przez pięć lat schlebiała sobie, iż nareszcie znalazła to, czego tak długo szukała daremnie. Niestety po raz pierwszy została opuszczoną, zdradzoną, nim kaprys miał czas minąć. Ucieczka ta, kosztowała ją niemało, duma upokorzona, zdeptana, odczuła cios nader boleśnie. Nienawidziła strasznie niewiernego, aż do chwili, w której pod wpływem innych wrażeń zapomniała o nim. Przeszedłszy szósty krzyżyk uspokoiła się nieco i całe jej życie, cała energia przeniosła się nagle do mózgu. Rzuciła się z zapałem do nauk przyrodniczych. Miała pojęcia bardzo postępowe, marzyła o przeobrażeniu się społeczeństwa w kierunku realnym, była przekonaną o pochodzeniu człowieka od małpy, pogardzała tymi, którzy śmieli występować przeciw tej teoryi. W gruncie rzeczy pogardzała wszystkiem i wszystkimi. Nie czuła się jednak do pożałowania; przeczyć wszystkiemu i wszystkiem pogardzać, jest także pewnym rodzajem uszczęśliwiania samego siebie.

W czasie wspólnego ich pobytu w Ostendzie, pani de Lorcy zyskała sobie względy księżnej Gulof, pielęgnując jej ulubioną sarenkę, zwaną Muffland, której ktoś niebaczny, złamał nogę. Księżna uwielbiała to stworzenie, choć niekiedy przychodziła jej myśl, rozpruciа mu żołądka, dla przyjrzenia się wewnętrznemu układowi. Wdzięczność jaką uczuła względem pani de Lorcy, za jej opiekę nad chorą Muffland, zniewoliła księżnę do wielkiej uprzejmości, na którą przyjaciółka pana Moriaz, odpowiedziała trochę chłodno, nie gustując w towarzystwie kobiety, opowiadającej bez ustanku tajemnice wszystkich miast Europejskich, z werwą pełną złośliwości i cynizmu. Spotkawszy ją w sali wystawy obrazów chciała cofnąć się niepostrzeżona, lecz nagle powróciła na poprzednio zajmowane miejsce. Od kilku tygodni, pani de Lorcy ściganą była przez jedną tylko myśl do której ściągały się wszelkie jej czynności. Uczuła w sobie natchnienie, które pewnie pochodziło prosto z nieba. Księżna Gulof, pomyślała pani de Lorcy, objechała świat cały, jej prawdziwą ojczyzną jest wagon pierwszej klasy, nie ma większego miasta w Europie, gdzieby nie przepędziła dłuższego czasu, nie ma rzeczy, o której by nie wiedziała, zna świat cały na wylot, cóż by w tem było nadzwyczajnego, gdyby też i hr. Laryński nie był jej obcym?

Przecisnąwszy się przez tłum zalegający salę, pani de Lorcy stanęła tuż obok księżnej, a pociągając ją za rękaw zapytała:

— Księżna znów w Paryżu? Jakże się miewa Muffland?

Księżna spójrzała z boku na mówiącą, a ściskając w dwóch palcach jej rękę, odparła spokójnie, jak by mówiąc do osoby wczoraj widzianej:

— Muffland moja droga, miewa się bardzo nie dobrze, gdyż przed dwoma miesiącami zdechła, w skutek niestrawności.

— Płakałaś po niej księżno?

— Po dziś dzień, jestem niepocieszoną.

— Podejmuje się pocieszyć panią. Posiadam śliczną sześciomiesięczną sarenkę, a że jak wiesz księżno, przekładam nad podobne stworzenia wielkie psy, które przydają się na coś, przyjmij ją ode mnie, będzie to Muffland II, lecz trzeba abyś pani sama po nią przybyła, to mi nastręczy sposobność widzenia cię u siebie.

Księżna oznajmiła że udając się do Anglii wstąpiła tylko do Paryża, że jej godziny są porachowane ale w dwie minuty później obiecała pani de Lorcy że nazajutrz po obiedzie odwiedzi ją z pewnością.

Następnego dnia pani de Lorcy, ujrzała księżnę wchodzącą do salonu, w którym właśnie siedziała. Zajęto się najpierw sarenką i uznano ją być godną, zajęcia stanowiska po Mufflandzie I. Pani de Lorcy mówiła potem przez chwilę o obojętnych przedmiotach, aż wreszcie rzekła jak by od niechcenia:

— Ale prawda, ty księżno, która znasz wszystkich, która wiesz o wszystkiem, przypomnisz sobie może czy nie słyszałaś kiedy o pewnej tajemniczej postaci nazwanej: hr. Ablem Laryńskim?

— Nie pamiętam moja droga, choć nazwisko to nie jest mi obce.

— Poszukaj pani dobrze w swej pamięci, musiałaś spotkać go kiedyś w swoich podróżach po całym świecie...

— Zdaje mi się że jeden Laryński w swoim czasie wyjechał do Ameryki i więcej ztamtąd nie powrócił.

— Mówisz pani właśnie o ojcu Abla. Lecz niestety! Ameryka nie zawsze pochłania udających się tam, i syn jego, mój Laryński, powrócił ztamtąd na moje nieszczęście.

— Cóż on ci zawinił? zapytała księżna, pociągając za uszy, śpiącą obok niej sarenkę.

— Mówiłam pani dawniej, będąc jeszcze w Ostendzie o mojej chrzestnej córce, ślicznej pannie Moriaz. Zamierzałam właśnie wydać ją za mąż, za mego siostrzeńca pana Langis, a jest to młody człowiek ukończony, pod każdym względem. Zjawia się ów Laryński, rzuca uroki na to śliczne dziewczę i teraz, żeni się z nią.

— No i cóż w tem tak złego? Czy przystojny?

— Prawdę mówiąc, jest to jego jedyna zaleta.

— Zawsze to zaleta dostateczna, odparła księżna której szare oczki zabłysły nagle. Piękność człowieka, to jedyna rzecz jawna, reszta zaś, to kwestya jeszcze nie zbadana.

— Pozwól mi pani zapatrywać się na to praktyczniej, rzekła pani de Lorcy. Jeśli mam wypowiedzieć całą prawdę, to przyznam się iż posądzam, że hr. Laryński, nie jest ani prawdziwym Laryńskim, ani prawdziwym hrabią, włożyłabym rękę w ogień, że wszyscy Laryńscy już wymarli, a że ten jest sobie tylko zwykłym oszustem.

— Rzecz cała zaczyna mnie żywo zajmować, odrzekła księżna. Nie obmawiaj zanadto oszustów, znałam ich kilku, stanowią oni niekiedy wcale ciekawą rozmaitość w społeczeństwie. Pozwól twej chrzestnej córce wyjść za swego wybrańca, to urozmaici jej życie; ten biedny świat jest tak nudny.

— Bardzo dziękuję! moja chrzestna córka nie przyszła na świat na to, aby zostać żoną oszusta. Nienawidzę tego Laryńskiego, przysięgłam sobie dokuczyć mu doskonale.

— Nie zapalaj się tak moja droga. Jakiego koloru są jego oczy?

— Zielone jak u kota.

Z oczów księżnej Gulof, posypały się znów iskry błyszczące:

— Awanturnik z zielonemi oczyma! zawołała. To wyborna partya, znajduję że jesteś bardzo wymagającą.

— Zmartwiłaś mnie księżno, rzekła pani de Lorcy. Ja się spodziewałam znaleźć w tobie sprzymierzeńca, chciałam posiłkować się twoją przenikliwością, miałam nadzieję że mi pomożesz zedrzeć maskę jaką przybrał ten mniemany Laryński. Chciej być dobrą raz w życiu i pozwól go sobie przedstawić.

— Powiedziałam ci że przebiegam tylko przez Paryż, że oczekują na mnie w Londynie. Zresztą przeceniasz moją przenikliwość, zaręczyć mogę, że nie znam żadnego Laryńskiego i dla tego nie potrzebujesz przedstawiać mi twego. Jestem sobie poczciwą kobieciną, która nie raz została oszukaną, ale się na to nie skarżę. Najlepszą stroną mej przeszłości, są właśnie owe omyłki. Nauczyłam się sądzić z pozorów i od nikogo nie żądam, aby mi pokazywał wnętrze swej szkatuły, przekonałam się bowiem, że często owe szkatuły dna nie mają. Pozwól twej chrzestnej córce, czynić co się jej podoba; jeśli się oszuka, widać że chciała być oszukaną, a z pewnością wie lepiej jak ty, co jej potrzeba. Cóż wielkiego że pod słońcem będzie jedno więcej nieszczęśliwe małżeństwo! Zresztą tylko bardzo ograniczone kobiety są nieszczęśliwe, bo zatrzymują się niemądrze przed zamkniętemi podwojami, inne zaś obchodzą te drzwi dokoła, lub robią w nich otwór. Małżeństwo moja droga, jest instytucyą całkiem zużytą. Od dziś za lat dziesięć zobaczysz że i mowy o niem nie będzie. Od dziś za lat dziesięć hrabina Laryńska, będzie sobie hrabiną zupełnie wyzwoloną. Pozwól jej odbyć ten czas próby, a z większą jeszcze radością używać będzie potem zupełnej swobody.

Zaledwie księżna skończyła wygłaszać swoje zasady, drzwi się otwarły i weszła panna Moriaz. Pomimo że wiele ją to kosztowało, przyszła hrabina Laryńska dotrzymała słowa danego ojcu. Pani de Lorcy podeszła ku niej z uśmiechem na ustach, a ucałowawszy przybyłą, wymówiła jej że tak rzadko odwiedza swą chrzestną matkę, potem przedstawiła Antoninę księżnej, która zaraz zawołała:

— Zbliż się moje dziecko, muszę ci się przyjrzeć, mówią że jesteś prześliczną!

To mówiąc utkwiła w jej twarzy swe przenikliwe źrenice, potem zmierzyła Antoninę od głowy do stóp, jak to czynić zwykł normandzki kolonista, nabywający na jarmarku sztukę inwentarza. Rezultat tych badań był zupełnie pomyślny, gdyż księżna wyrzekła po chwili:

— W istocie, nie mam ci nic do zarzucenia.

Zaraz potem oświadczyła że panna Moriaz była nadzwyczaj podobna do pewnej osoby, biorącej udział w pewnem zdarzeniu, jakie natychmiast zaczęła opowiadać. Skończywszy tę historyą, zaczęła niezwłocznie inną. Pani de Lorcy siedziała jak na szpilkach, wiedząc z doświadczenia że opowiadania księżnej Gulof nie były stosowne dla panieńskich uszów. Patrzyła z wyrazem niepokoju na Antoninę, a gdy czuła że drażliwa chwila nadchodzi, zaczynała głośno i uporczywie kasłać. Księżna zrozumiawszy o co chodzi, pokrywała rzecz całą osłaną z gazu, ale gaza ta była nadzwyczaj przezroczysta. Wtedy pani de Lorcy na nowo zaczynała kasłać, księżnej zaś zabrakło cierpliwości, przerywała więc opowiadanie słowami:

— I tak i to *et coetera*... Tak się kończy historya.

Panna Moriaz patrzyła ze zdziwieniem, nie rozumiejąc co znaczyły napady kaszlu, raptowna przerwa w opowiadaniu i owo: „I tak i to *et coetera*". Zdawało jej się że księżna Gulof miała trochę pomieszania zmysłów, a zarazem wdzięczną jej była, iż znalazła się tak na czasie, aby ją uwolnić od przykrego sam na sam z panią de Lorcy, które niezawodnie byłoby za sobą pociągnęło niezbyt przyjemne tłomaczenia i sprzeczki.

Przez całą godzinę siedziała na swem krześle, patrząc ze zdziwieniem na ruchliwą kobietę, której

język niby młyn, poruszał się ciągle z hałasem. Obmówiwszy należycie bliźnich, nie pomijając nawet książąt i panujących, powtórzywszy po kilka razy: *et coetera*, księżna Gulof zaczęła rozprawiać o fizyologii. Była to nauka którą zgłębiała i która według jej zdania jest kluczem do wszystkiego na świecie, alfą i omegą ludzkiego życia. Wypowiedziała kilka zdań materyalistycznych, dobierając tak dobitnych wyrazów, że panna Moriaz przestraszyła się prawie. Zdziwienie jej wkrótce zmieniło się na oburzenie, uznała że odwiedziny te, trwały już dość długo i oddaliła się nie zatrzymywana przez panią de Lorcy.

Wracając do Cormeilles, Antonina spotkała jadącego konno młodzieńca że spuszczoną głową, widocznie bardzo zagłębionego w myślach. Młodzieniec ten zadrżał, usłyszawszy dźwięczny głos, wołający na niego:

— Gdzie jedziesz Kamilu?

— Do pani de Lorcy, odpowiedział zagadnięty, kłaniając się głęboko.

— Nie jedź do niej, mówią tam teraz o bardzo brzydkich rzeczach. I dodała tonem monarchini: Ani kroku dalej jesteś moim więźniem.

Po chwili wysiadła z powozu, on zeskoczył z konia i siedli obok siebie na ogrodowej ławce. Kilka dni przed tem pan Moriaz spotkawszy Kamila, wymawiał mu gorzko że i on także w tych czasach, odwrócił się od niego; wskutek czego pan Langis obiecał odwiedzić niezadługo Cormeilles. Dotrzymał więc słowa. Czy dobrze wybrał godzinę? To pewno że był zarazem zadowolony i zrozpaczony, dowiedziawszy się że Antoniny nie zastał. Przeciwności są zwykle tłem ludzkiej natury, zwłaszcza u ludzi zakochanych.

Wyjechawszy dopiero z Cormeilles spotkał Antoninę, i dla niej raz jeszcze tu powrócił. W pierwszej chwili silne pomieszanie nim zawładnęło, lecz uspokoił się wkrótce i postanowił udawać zupełnie spokojną obojętność, grać do końca rolę brata i przyjaciela. W Saint-Moritz wyszedł z roli tej tak zwycięzko, iż Antonina przekonaną była że wyleczył się już z chwilowego uczucia, w które nigdy bardzo nie wierzyła.

— Za naszem ostatniem widzeniem, mówiła Antonina, wyrzekłeś słowo, które sprawiło mi wielką przykrość, spodziewam się że uczyniłeś to bez zastanowienia.

— Jestem wielkim winowajcą, odparł, i biję się w piersi. Ubliżyłem twojemu bóstwu.

— Szczęściem moje bóstwo o tem nic nie wie, a gdyby nawet doszło to do niego uspokoiłabym go, mówiąc mu: przebacz temu młodzieńcowi, który nie zawsze wie co mówi.

— Najczęściej nie wie; ale cóż chcesz? mężczyzna mdlejący, to mi się zawsze wydawało trochę dziwacznem. Trzeba się wystrzegać przesądów, co kraj to obyczaj, kiedy Polska ci się podoba, będę się starał widzieć tylko jej dobre strony.

— Otóż to wybornie. Dziś nawet chciałabym cię pogodzić z hr. Laryńskim; zostań u nas na obiedzie, on też zaraz przybędzie. Pierwszym obowiązkiem ludzi których kocham, jest: miłować się między sobą.

Pan Langis bronił się nie chcąc przyjąć zaproszenia, ale Antonina nalegała usilnie; aż wreszcie skłonił się do jej woli. Młodość lubuje się niekiedy w własnem cierpieniu.

Kreśląc na piasku kabalistyczne znaki końcem swej trzcinki, Kamil rzekł obojętnym tonem:

— Nie życzę źle panu Laryńskiemu, przyznaję jednak że miałbym prawo nienawidzić go, bo jeśli się nie mylę, przed dwoma laty i ja miałem honor prosić o twoją rękę. Pamiętasz?

— Doskonale pamiętam, odrzekła zatrzymując na jego twarzy swe łagodne spojrzenie, ale przyznać muszę że ta twoja fantazya, nie zdawała mi się nigdy bardzo rozsądną, ani też długotrwałą.

— Mylisz się, dziś jeszcze mogę zaręczyć, że odmowna odpowiedź pogrążyła mnie w rozpaczy, trwającej czterdzieści ośm godzin, ale była to prawdziwa rozpacz, która nie pozwala jeść, ani spać, i która nasuwa myśl o samobójstwie.

— A po czterdziestu ośmiu godzinach, pocieszyłeś się?

— Ah! Boże mój! na tem się zwykle kończy. Długo się wahałem nim odważyłem się prosić o twoją rękę, myśląc: jeśli mi odmówi nie będę mógł widywać jej więcej... A jednak widzę cię i wszystko poszło jak najlepiej.

— A kiedy ty się ożenisz?

— Ja? nigdy. Umrę kawalerem. Kiedy nie można mieć za żonę pannę Moriaz, udaje się niepocieszonego przez całe życie.

— Niechże to przynajmniej, nie przeszkadza jeść, pić i spać...

— O! w takim razie, człowiek staje się bardzo interesującym, nie ponosząc jednak przykrych następstw, jakie pociąga za sobą zwykle każdy prawie zawód, odparł śmiejąc się wesoło. Potem obejrzawszy się dokoła, dodał: — Zdaje mi się żeś całkiem odmieniła tę terasę, co była po prawej stronie teraz znajduje się po lewej, drzewa powycinane; nie poznaję się tu teraz.

— Mylisz się, nic tu nie zmieniłam, i chyba to pan zapomniałeś o przeszłości. Jakto, nie przypominasz sobie tej terasy, która była teatrem tylu bohaterskich czynów? Byłam wtedy prawdziwym tyranem, czyniąc z tobą co mi się podobało. Buntowałeś się niekiedy, ale w gruncie rzeczy niewolnik uwielbiał swoje kajdany. Otwórzże oczy i patrz na te morwowe drzewo, na które zwykle wdrapywałeś się: gdy chciałam przebrać cię za dziewczynkę tyś mówił wtedy, że nie masz wcale chęci do tak niemądrego rzemiosła. Oto szpaler w którym graliśmy w piłkę, oto altanka i kląby w których chowałam się przed tobą.

— O tak, pamiętam to! W czasie pobytu na Węgrach ułożyłem nawet te naszą idylle wierszem i dorobiłem muzykę do mojej piosenki.

— Zaśpiewaj mi ją.

— Wyśmiałabyś mnie, mam głos fałszywy, ale jeśli chcesz mogę ci ją powiedzieć. Niezbyt wyborowe są to rymy, ale nie jestem poetą. Nie będziesz się gniewać, prawda?

— Nigdy, o nigdy!

— Posłuchaj więc moich biednych wierszy, a przekonasz się że jest w nich wiele czucia.

Nie patrząc na nią, półgłosem wypowiedział następujące strofki:

Czy pamiętasz dnie młodości,
Gdyśmy w pośród drzew tych cieni,
Pełni szczęścia, niewinności,
Pląsali wśród łąk zieleni.

Wtedy życie mi się śmiało,
Wszystko śmiało się dokoła,
Wtedy serce tak kochało,
Chmurka nie zaćmiła czoła.

Dziś zwracam me oczy wszędzie,
I szukam cię nadaremno,
Bez ciebie w mem życiu będzie:
Samotnie, smutno i ciemno.

Piosnka twoja jest bardzo ładna, ale nie mówi zupełnej prawdy, bo wszakże nie szukasz mnie, skoro jesteśmy tu razem na tej ławce.

Nie domyślała się nawet jakie mu mimo woli i wiedzy zadawała tortury; nie mógł się na nią uskarżać, ale w głębi ducha zapytywał samego siebie, czy w najlepszem nawet sercu kobiecem, nie mieści się odrobina bezwiednego okrucieństwa. Czuł że łzy gwałtem cisną mu się do oczów, nachylił się, by lepiej widzieć pełzającego po ziemi robaka, który biegł szybko, mając pewno do załatwienia ważną jaką czynność. Gdy Kamil podniósł głowę, miał oczy zupełnie już suche, wypogodzone oblicze i uśmiech na ustach.

— Nie wątpię, że przed dwoma laty wydawałem ci się bardzo śmiesznym. Ten towarzysz dziecinnych zabaw, ten mały Kamil, który nagle chciał się zmienić na męża! Pretensya była śmieszna sam to przyznaję.

— Wcale nie, odrzekła, ale zaraz myślałam, że była to z twej strony omyłka. Mali towarzysze mają trochę zapalone głowy i często mylą się co do natury swych uczuć. A jednak przyjaźń i miłość są to tak różne uczucia! Mówiłam raz do panny Moiseney, że kobieta nigdy nie powinna zostawać żoną, serdecznego przyjaciela, gdyż jest to sposób utracenia go; a jednak przyjaciół, warto zachować starannie.

— Tak, ale pomyśl tylko, co dziś dla nich w twem sercu zostało? Ja bo swoją rolę widzę bardzo ograniczoną, zajmuję teraz tak podrzędne stanowisko. Lepiej już całkiem zapomnieć o dawnych przyjaciołach.

— Zła rada! przyjaciół zawsze potrzebujemy. Kobieta, najszczęśliwsza nawet, znajduje się niekiedy w trudnem położeniu. Potrzebuje rady pomocy nie może zawsze udawać się po nie do męża, bo mężowie nie poznają się na wszystkiem. Jeśli kiedy będę w takiem położeniu, zwrócę się do ciebie Kamilu.

— Zgoda! zawołał, aby ci pomódz przyjadę nawet z głębi Transylwanii.

I podał jej rękę którą uścisnęła po kilka razy.

(d. c. n.)

Korespondencya z Schlangenbad.

20 Sierpnia 1880 r.

W pismach naszych czytamy powtarzane rok rocznie korespondencye z Karlsbadu, Fransenzbadu, Salsbrunu i innych leczniczych zakładów, tak szląskich jak i czeskich; spotykamy się z opisami Ems, Wisbadenu, i różnych uzdrawiających krynic, tak hojnie rozrzuconych nad Renem. O Schlangenbadzie przecież jak nam się zdaje, nikt dotąd nie powiedział ani słowa, a przecież cudna ta ustroń, ukryta pod cieniem Taunusu, zasługuje na szczegółową wzmiankę.

Pod względem piękności położenia, Schlangenbad przechodzi o wiele wszystkie nadreńskie zakłady; z szwajcarskiemi tylko mogłby iść w porównanie. Wyobraźmy sobie wązką dolinkę na południowym stoku Taunusu, podniesioną o tysiąc stóp nad poziom, otoczoną wieńcem gór porosłych gęstym lasem. Góry te wyższe jeszcze o jakie ośmset stóp piętrząc się fantastycznie, przedstawiają niesłychanie bogatą roślinność: u podnóża zielenią się dęby i brzozy połyskujące białą korą, jarzębina błyszczy koralowemi jagody: wyżej czernieją buki w pośród świerków i sosen. Woń żywiczna przepełnia powietrze, łącząc się z aromatem świeżo pokoszonego siana. Do tych drzew wyhodowanych tylko bożem słonkiem i bożą rosą, dodajmy inne, porozsadzane ręką ludzką na dolinie, z nieporównanym smakiem.

Czyste powietrze i obfite deszcze zwyczajne w górach, przyczyniają się dzielnie do ich rozrostu. Nigdzie też nie widzieliśmy równie krzepkich klonów, grabów, jaworów, białodrzewów, jesionów i topoli, jak w tym prześlicznym parowie, zamienionym w rozkoszny ogród. W pośrodku toczy się wężykiem, wązki ale czysty jak kryształ strumień, tu i owdzie rozrzucone kłąbiki z róż, witwiny, rezedy i heliotropu, tworzą na tle murawy najpiękniejszy kobierzec.

Do koła tego ogrodu kupią się w malowniczym bezładu domki, wille, obszerne hotele i okazałe gmachy. Kursal i trzy zakłady kąpielne uderzają nasamprzód oko, nie tyle zewnętrznym przepychem jak raczej znacznemi rozmiarami, które świadczą, że wszystko obmyślone tu ku wygodzie przybyłych gości. Jakoż w rzeczy samej, niczego tu nie braknie, każdy znajdzie to czego żąda. Dla pobożnych jest kościół, wprawdzie nie wielki, ale utrzymany starannie; dla miłośników zabawy, są w Kursalu tygodniowe zebrania i częste koncerta; dla osób żyjących życiem publicznem, jest sala pełna dzienników i przeglądów, i abonament książek, dla dzieci stoją okulbaczone osiołki, dla ciekawych turystów uprzężone pojazdy gotowe powieźć ich do Schwalbachu, Wisbadenu, lub na reńskie wybrzeże.

Schlangenbad nie jest ani miasteczkiem, ani nawet zwyczajną wioską, to po prostu zakład leczniczy. Miejscowa ludność nie dosięga nawet liczby czterechset stałych mieszkańców. Nie dopatrzyć tu nigdzie zagona ornej ziemi, ni sadów owocowych ni warzywnych ogrodów; brak na to miejsca, w wązkim, ściśniętym górami parowie. Jedyny zarobek dla krajowców, stanowią goście przybywający tu od połowy maja do września, których liczba co lato wynosi około 2,000 osób. Nie powiemy jednak, aby ci biedni krajowcy, chcieli zbytecznie korzystać z cudzoziemców. Ceny mieszkań dosyć umiarkowane: za dwadzieścia marek tygodniowo można mieć dwa bardzo wygodne i czyste pokoiki; za siedm i pół marek dziennie, można się pomieścić na pensyi w jednym z lepszych hotelów, i mieć wszystkie potrzeby hojnie zaspokojone.

Łatwo pojąć jak smutną być musi ta prześliczna dolina, zagrzebana pod śniegiem grudniowym, owiana mgłą wzrokiem nieprzedartą. Mieszkańcy tutejsi zbyt ulegli wpływom przyrody, zagrzebują się jak niedźwiedzie w swych norach i spędzają zimę w zupełnej bezczynności, spożywając zasiłek ciężko zapracowany podczas lata. Po czteromiesięcznych trudach, ośm miesięcy wypoczynku! to doprawdy za wiele; a przecież taką tu idą rzeczy koleją. Na zapytanie nasze: — Cóż wy porabiacie podczas zimy? —Nic! odpowiadają nam jedni, w naiwny sposób; „*Man schlaft*“ mówią inni cynicznie!

Jakoż w rzeczy samej nie dopatrzyć nigdzie śladów miejscowego przemysłu. W sklepikach i na tassach przed Kursalem, widzimy tu rozstawione, dzieła ręki dalekich nawet przybyszów. Tyrolczyki gromadzą tu swoje wyroby z łosich i jelenich skór, tysiączne drobnostki wyrzynane cierpliwie z kości, toczone z rogów jelenich lub bukszpanu, góralczesko niemieccy, od Sudetów, przynoszą owe delikatne koronki i hafty, na których sprzedaż nie wystarcza Karlsbad z Maryenbadem. Bawarczyki z Amargau, sprzedają figurki rzeźbione z drzewa, świadczące o głębokiem poczuciu artystycznem, którego dają dowody, w odgrywanych mysteryach średniowiecznych; górale belgijscy z okolic Spaz wystawiają śliczne koszyczki, pudełka, cygarniczki i tym podobne cacka, nalepiane różnobarwną słomą w udatne wzory. Dalmaci z po nad Adryatyku, znoszą tu owe skrzyneczki wysadzane muszelkami, owe naszyjniki i branzolety z konchy, któremi zasypana Wenecya. Hiszpanie nawet z Saragossy i Barcelonny, sprzedają piękne makaty w jaskrawych barwach, tkane w ich kraju według Maurytańskich wzorów. Przykład tych wędrownych kramarzy tak pracowitych i przemyślnych, nie oddziaływa bynajmniej na ludność Schlangenbadzką, nie zdoła wyrwać jej z tego borsuczego snu, w którym butwieje od jesieni do wiosny. Bezczynność taka smutne też wydaje owoce. Spotykamy tu co krok włóczęgów wyciągających ręce po datek. Co gorsza, inni mniej szczęśliwi od nas spotkali w lesie tutejszym całą ich bandę uzbrojoną kijami. Wieść o tem rozbiegła się po okolicy, powtórzyły ją dzienniki wisbadeńskie; sprowadzono żandarmów. Bandyci ukryli się po norach, ale co pomoże zbrojna siła, póki przyczyna złego usuniętą nie będzie, póki lud nie przywyknie do pracy. „Kto śpi ten nie grzeszy,” mówi przysłowie, bardzo według nas paradoksalne; twórcy jego ani się domyślali, że gdzieś w wąwozach Taunusu, jest garstka żywych istot, zdolna przespać ośm długich miesięcy!

Nie naszą rzeczą wdawać się w rozbiór tutejszych wód, powiemy tylko ogólnie, że należą do rzędu alkalicznych; soda stanowi główną ich podstawę; temperatura ich dochodzi dwudziestu czterech stopni. Mała zaledwie liczba osób pije wodę u źródła, wszyscy zato używają kąpieli. Działalność ich objawia się szczególniej w łagodzeniu rozdrażnionych nerwów, i doprowadzeniu ich do normalnego stanu, do czego przyczynia się niemało czyste powietrze zaprawne leśną wonią, i piękność okolicy zachęcająca do przechadzek. Dla tego to lekarze wybierają zwykle Schlangenbad na miejsce wypoczynku po odbytej kuracyi w Ems, Karlsbadzie, i innych silnie działających wodach, po których powrót do zwykłego trybu życia, mógłby zniszczyć osiągnięte korzyści. Do tej samej kategoryi jak Schlangenbadzkie, należą kąpiele w Wildbad w blizkości Baden-Baden, Phephers w Szwajcaryi, Gastheim i Ischl w południowej Austryi.

Między gośćmi przebywającemi tu, po niemieckiej, przeważa narodowość angielska. Między tą odznacza się kilka rodzin amerykańskich. Są tu niemniej i Włosi i Hiszpanie i Szwedzi i Holendrzy, niekiedy nawet potrąci ucho polski język. Znać polacy od dawna odwiedzają to miejsce, świadczy o tem obraz N. Panny Częstochowskiej, zawieszony w kościele tutejszym pobożną ręką, otoczony wieńcem sztucznych róż, nieco już wypłowiałych. Niedawno jeszcze i Francuzi chętnie tu przybywali, ale od wojny 1870 roku, niechęć do Niemców zobojętniła ich na piękności nadreńskich okolic. Pomimo całego ułatwienia podróży, z Paryża bowiem w dniu jednym można się dostać do Schlangenbadu, widzimy zaledwie parę francuzkich rodzin. Wszyscy ci przybysze rozdzieleni na małe grupki rozbiegają się po lasach, rozjeżdżają po okolicy; nikt tu nie szuka nowych znajomości, lecz każdy rad ze swobody i wypoczynku; stroje całkiem ztąd wywołane, grono tylko niemek, ściślej złączone z sobą, zapełnia salę kurhauzu w dniu tygodniowego zebrania.

(d. n.)

Przegląd literacki.

Biblioteka Warszawska i Ateneum z I kwartału 1880 r.
(Styczeń— Marzec).

(Dalszy ciąg).

Zwracamy się teraz do Ateneum.

W tem piśmie panuje niby na pozór większa rozmaitość niż w Bibliotece, ale także większa suchość i niezbyt zajmujący sposób traktowania przedmiotu, tak że rzeczy udatnych i na uwagę zasługujących w niniejszych trzech zeszytach bardzo niewiele.

Artykuły historyczne od samego początku istnienia Ateneum, stanowiły najlepszą i najbogatszą stronę tego czasopisma; i teraz jeszcze ten dział najwięcej zasługuje na uwagę. Naczelna wzmianka należy się pracy Ignotusa „Zajęcie Galicyi,“ bardzo zajmującej, tem więcej że poświęconej przedmiotowi nowemu, mało u nas znanemu. Są tu bardzo ciekawe szczegóły historyczne i obyczajowe i wyborny wizerunek postępowania cesarza Józefa II i jego wojsk w nowoprzyłączonym 1772 r. kraju. Austryacy wkroczyli w granice Polski bez żadnych ceremonii, bez najmniejszego opowiadania się, ukrywając nawet swe cele; odrazu tylko zaczęli rozpędzać lub brać do niewoli konfederatów, zabierając im żywność i amunicyą, a zabezpieczając się zarazem i od Rossyi, ażeby ta im Galicyi nie pochwyciła, jenerałowie austryaccy ogłosili „ażeby nikt nie ważył się przechowywać ani konfederatów ani Rossyan pod karą *stu plag* i *wiecznego więzienia*; jeżeli plebejusz, a jeżeli szlachcic — pod karą pieniężną i więzienia.“ Tak postępowali podwładni mądrego filozofa, cesarza rzymsko-niemieckiego, niosąc cywilizacyą germańską do dzikiego kraju polskiego! Dowódzcom konfederackim oświadczono wkrótce wężłowato że „kraj już nie do nich należy; ale do jego cesarskiej mości,“ a zabrawszy się do wybierania najpierwej furażu i podatków dla wojka, austryacy kazali szlachcie wybrać delegatów dla przeprowadzenia *w ciągu czterech dni* lustracyi wszystkich miast i wsi, z wykazaniem dochodów i cyfry możliwych dostarczeń dla armii. Musiała tedy chcąc nie chcąc, porządnie napocić się poczciwa szlachta, nieprzywykła do takiego pośpiechu, tem bardziej że punktualny dowódzca austryacki posunął swą akuratność niemiecką do wyznaczenia nietylko dnia ale nawet godziny a za niespełnienie poleceń karał więzieniem. Subordynacya militarna, do której austryacy chcieli przyuczyć szlachtę polską, przechodziła czasem w śmieszność. Tak np. opowiada autor, że delegatom konfederackim pozwolono w Dukli udać się do jenerała Mniszcha, ale tylko na kwadrans. Gdy jeden z delegatów żądał więcej czasu, utrzymując że potrzebuje, ażeby mu krawiec wziął miarę na suknię, dowódzca austryacki odparł że nic nie przeszkadza krawcowi brać miarę w czasie rozmowy delegata z Mniszchem. — „W Polsce nie ma tego zwyczaju, odparł konfederat, aby krawcy brali miarę na suknię wtedy, kiedy z kim godnym mówimy.“ Dowódzca pozostał jednak przy swojem i gdy delegat chciał dłużej niż kwadrans zabawić, huzary wyprosili go bez ceremonii.

W czerwcu 1772 r. nareszcie krótka proklamacya dowódzców austryackich ogłosiła, że jego cesarsko-apostolska mość łaskawym swoim umysłem rezolwował się kraj polski przyjąć i wziąć pod swoją protekcyą; zarazem zakazywano obywatelom wydalać się z kraju, zapowiadając że wojska mają rozkaz zatrzymywania wydalających się i odsyłania napowrót.

Wymagana dla wojsk kontrybucya nie była bynajmniej umiarkowaną: z przechowanych rachunków autentycznych widać, że z jednego tylko powiatu pilznieńskiego żądano na jeden kwartał 5,000 korcy owsa, 1.426 korcy żyta, 66,662 porcyi siana i t. p.

Austryacy zażądali zaraz pewnych wiadomości statystycznych o kraju, podając pewne rubryki i pytania. Ciekawe są odpowiedzi na niektóre z tych pytań; tak naprzykład w opisie powiatu bieckiego

powiedziano że „w powiecie można pożyczyć pieniędzy po 10 od sta, że nie ma ani jednego doktora ani apteki, tylko chirurdzy po miasteczkach, tudzież że zupełnie nie ma poczt i żadnych instytucyi celem zabezpieczenia życia i mienia mieszkańców.“

Godną uwagi jest rzeczą iż ów za wolnomyślnego filozofa okrzyczany Józef II — chociaż co prawda, wolnomyślność niezawsze łączy się z tolerancyą— wydawał ostre przepisy przeciwko żydom galicyjskim: nakazywał odebranie im szynków i karczem, a nawet w instrukcyi cesarskiej czytamy, że „żadnemu żydowi, który już się w kraju znajduje niewolno żenić się bez szczegółowego zezwolenia gubernium (władzy), pod karą wydalenia z kraju i konfiskaty majątku. Pozwolenia zaś powyższe należy z trudnością tylko wydawać i za opłatą wysokiej taksy.“

Cesarz-filozof pragnął widocznie powstrzymać rozmnożenie się Izraela w Galicyi—szkoda, że bezskutecznie.

Z drugiej strony, ten sam liberalizm józefiński, w głowie samego Józefa osobliwszym sposobem połączony z dążnością germanizacyjną i centralizacyjną, wydał przepisy przeciwko językowi, a nawet przeciwko ubiorom krajowym. „Byłoby bardzo do życzenia — opiewa instrukcya cesarska — ażeby *po upływie jednego roku i jednego dnia* (!) nikt prócz chłopców nie ubierał się po polsku. Wszystko powinno być traktowane po niemiecku albo po łacinie, a każdy kto tylko wstępuje w c. k. służbę winien być sub. conditione sine qua non (pod niezbędnym warunkiem) wezwany, aby przyjął strój francuzki.“

Drugą połowę artykułu zajmuje opis instancyi we Lwowie pierwszego namiestnika austryackiego hrabiego Pergena, dalej podróży Józefa II do Galicyi i wreszcie powszechnego „homagium“ czyli przysięgi wierności, przez ludność nowym władzcom złożonej. Godną uwagi jest rzeczą, iż od tej ostatniej ludność wzbraniała się długo, aż póki jej król Stanisław August od przysięgi sobie wykonanej nie zwolnił; w uroczystościach zaś instalacyjnych urzędnicy krajowi nie chcieli brać udziału, wymówiwszy się chorobą. Starosta lwowski otrzymał nawet za takie zachowanie się listowne podziękowanie od Stanisława Augusta.

Drugi artykuł historyczny, pióra p. Jarochowskiego, w tymże zeszycie styczniowym umieszczony, p. t. „Początek wojny trzydziestoletniej,“ pomimo że „według najnowszych opracowań“ skreślony (głównie podług Antoniego Gindelego, pierwszego dziś historyka czeskiego), nie zawiera nic wybitnie nowego, chociaż ułożony został zajmująco i umiejętnie, z właściwym autorowi talentem.

Więcej prac z dziedziny historyi w trzech zeszytach Ateneum nie napotykamy. Mamy tu za to różnobarwną mozaikę artykułów z rozmaitych gałęzi wiedzy, studyów zbyt specyalnych i oschłych lub też kompilacyi nie przechodzących skali mierności. Tak p. Kotarbiński rozprawia o królu Learze, ktoś inny pisze o Maticy Chorwackiej, to znowu o obyczajach ekonomicznych we Francyi; o podatkach w Rossyi; dalej mamy listy z Czech, rzecz o wystawie sztuk pięknych w Paryżu — wszystko jakoś przedmioty niezbyt wiele przedstawiające interesu dla ogółu, tem bardziej że po większej części nieswojskie i albo oddawna wyczerpująco już zbadane albo nieudolnie po kompilatorsku traktowane, o ile mogłem wnosić co do tych przynajmniej, które nie przechodzą zakresu mojej kompetencyi.

Z pomiędzy tego balastu wyróżnia się poważne i gruntowne sprawozdanie p. Dunina o dziele Gumplowicza „Narodowość i prawo publiczne,“ chociaż pozbawione zalet stylu i niezbyt popularne: zasługuje także na uwagę niewielki, lecz ciekawy artykulik p. Jabłonowskiego p. t. „Polska i Polacy w poezyi Słowian zadunajskich“ (zeszyt marcowy). Jest to właściwie sprawozdanie z najnowszego dziełka serbskiego, Stojana Nowakowicza, wydanego w Nowym Sadzie 1879 r. Autor tego dziełka zastanawiał się długo nad tym dziwnym faktem (który zresztą był dostrzeżony i podziwiany nietylko przez niego jednego) że pomimo stosunków dawnej Polski ze Słowianami tureckimi, pomimo panowania Jagiellonów nad Węgrami i Serbami, pomimo bojów z półksiężcem pod sztandarem krzyża, w których Polacy czynny brali udział od Warny do Wiednia—pomimo to wszystko w poezyi ludowej Serbów i Bulgarów, tak bogatej i charakterem historycznym nacechowanej, nie masz zupełnie wzmianki o Polsce i Polakach pod jakiem bądź nadawanem nam przez obcych imieniem. Otóż dokładniejsze zbadanie owych utworów poetycznych przekonało, że taka wzmianka istnieje i nawet trafia się dosyć często; tylko że Polska nazywa się w poezyi Słowian zadunajskich Ledianem lub Lediangradem, a Polacy — Ledianami. Nazwy te, wzięte właściwie z języka madjarskiego (od Leng=Lech, Lach, Polak) w poezyi słowiańskiej mają niekiedy fantastyczne, nawpół bajeczne i mityczne znaczenie i dotychczas stanowiły zagadkę dla zbieraczy pieśni i uczonych; ostatecznie p. Nowakowicz i inni dowiedli i zestawieniem historycznych wzmianek owych pieśni wykazali, że Ledianem nazywano nie co innego jeno Polskę.

Dział krytyczny, jak zwykle, wygląda w Ateneum słabo, nawet sprawozdanie Tyszyńskiego o powieściach historycznych Kraszewskiego jest tylko bladem streszczeniem. Nie pomiędzy właściwemi recenzyami, ale w formie osobnego studyum literackiego znaleźliśmy obszerną pracę p. Chmielowskiego p. t. „Młode siły“ (zeszyty styczniowy i lutowy). Praca to nietylko obszerna, ale nawet rozwlekła, bodaj za rozwlekła w stosunku do wartości przedmiotu — ale to już wada właściwa p. Chmielewskiemu, który dba zawsze najwięcej o to, aby utwory jego pióra zawierały jak najpokaźniejszą liczbę wierszy i stronnic. Przeczytawszy sam nagłówek, czytelnik zaciekawiony stawia sobie pytanie; o jakich to siłach może być mowa?

(d. c. n.)

Z kraju i z zagranicy.

— Wiktor Tissot, znany autor rozgłośnej „Podróży do kraju miliardów“ i tylu innych opisów podróży które w licznych wydaniach po całym rozchodzą się świecie, zamierza opisać obecnie Galicyą, Kraków i jego okolicę i w tym celu bawił czas jakiś we Lwowie, a w ostatnich dniach p. m. przybył do Krakowa w towarzystwie artysty naszego p. Siemiradzkiego i p. Wołowskiego redaktora z Wiednia. Professor Władysław Łuszczkiewicz służył mu za przewodnika, pokazywał pomniki starożytnego grodu i cenne zabytki nauki i sztuki. Z Krakowa pan Tissot pojechał z Siemiradzkim do Zakopanego, a po powrocie stamtąd zamierza dłużej zabawić w Krakowie.

W Zakopanem przygotowano dla gości bardzo świetne przyjęcie. Na spotkanie ich wyjadą do Nowego Targu pp. Walery Eliasz, artysta malarz i p. Świerz, sekretarz Towarzystwa tatrzańskiego. Na granicy Zakopanego powita gości konny orszak górali, a najpoważniejszy z gazdów, Staszeczek, wypowie mowę ułożoną podobno przez prezydenta Krakowa, d-ra Zyblikiewicza. Nazajutrz odbędzie się wycieczka do Kościeliska, gdzie na skale zwanej „pisaną“ (z powodu zamieszczonych na niej licznych podpisów turystów) przygotowano miejsce na podpis dla Siemiradzkiego, który następnie wyryć ma na skale szkoła rzeźbiarska. Siemiradzki i Tissot mają podobno parę tygodni zabawić w Zakopanem. Wiktor Tissot zawarł umowę z jednym z najpierwszych paryzkich księgarzy — nakładców, p. Dentu, iż opisze w osobnych książkach podróże i wrażenia swoje po niektórych krajach wschodniej Europy; w roku b. odbywa w tym celu podróż po Galicyi. Dalej p. Tissot zobowiązał się pisywać korrespondencye o naszych stosunkach do „Monde illustré“ i „Moniteur universel“. W wycieczce obecnej do Galicyi i Krakowa towarzyszy mu rysownik mający robić szkice z podróży Franciszka-Józefa po Galicyi, dla zamieszczenia ich w wyż wymienionych pismach. Chodzi wieść że do „podróży po Galicyi“ Siemiradzki przyrzekł zrobić illustracye.

— *Petersburgskie Wiadomości* podają nader charakterystyczny fakt jaki zaszedł w jednym z sądów pokoju w Odessie. Jenerał S. pochwycił na gorącym uczynku złodzieja wchodzącego oknem do jego mieszkania, i odstawiono go do sądu—lecz cóż się stało? oto sędzia uwolnił złodzieja dla braku dowodów. Po odczytaniu wyroku, jenerał zwrócił się do „sumiennego“ sędziego, żądając aby mu dał adres zamieszkania złodzieja. Sędzia wpatrzył się w niego z zadziwieniem, jenerał dodał: „Ponieważ pan uznałeś że oskarżony nie miał zamiaru okradzenia mnie, więc ośmielam się mniemać że chciał złożyć mi wizytę, potrzebuję zatem adresu złodzieja abym mógł go rewizytować.“

— Gdyby nie to że zazdrość jest grzechem śmiertelnym, doprawdy trzebaby zazdrościć tym co w jakie choćby sto lat po nas żyć będą, — bo cóż to do tego czasu nie wymyślą i nie wynajdą! W Ameryce wyrabiają domy z massy papierowej, w Londynie łódki z tejże massy odbywające bezpiecznie odległe podróże morskie, a obecnie p. Godin zbudował teatr przenośny ze sceną, lożami, ławkami, żyrandolami, dający się przewozić z miejsca na miejsce i ustawić zupełnie w przeciągu 48 godzin. W d. 18 zeszłego miesiąca, wyprawiono z Paryża do Brukselli ładunek ważący 100,000 funtów. Jest to teatr czyli panorama, obejmująca 10,000 metrów kwadratowych malowidła. Panorama i wewnętrzne ozdoby teatru wymalowane są przez pana Rabecchi. Jest pięć widoków panoramy, każdy po 2,000 metrów kwadratowych, które przedstawiają: 1-o Podróż Nordenskjölda do bieguna północnego; 2 Wiek żelaza i węgla kamiennego; 3-o Dwadzieścia tysięcy mil pod powierzchnią morza, według głośnej opowieści Juliusza Verne; 4-o Niespodzianka; 5-o Paryż w dzień i w nocy. Otwarcie widowisk w Brukselli, zapowiedzianych na 20 lipca. Następnie, dyrektor p. Dignat zamierza udać się ze swoim przenośnym teatrem w podróż do innych krajów.

— Niejaki Thomes Boyd, Irlandczyk mieszkający w Ketucky, w kwietniu r. b. ogłosił przez dzienniki że z mostu kolei żelaznej, a więc z wysokości 122 stóp, rzuci się w nurty Green River. Gdy nadszedł dzień oznaczony, przybyło z różnych stron kolejami żelaznemi tysiące ciekawych, ale dowiedziano się że administracya kolei zabroniła Boyd'owi wchodzić na most. Łatwo pojąć gniew i niezadowolnienie zaciekawionych widzów, których pozbawiano tak niezwyczajnego widowiska: aby ich uspokoić, Boyd zwinnie jak wiewiórka wdrapał się na szczyt drzewa rosnącego nad wybrzeżem, i z wysokości jego wynoszącej 60 stóp, rzucił się w rzekę. Pod ten czas niektóre osoby wysokie w tej prowincyi zajmujące stanowiska, posłały telegram do dyrekcyi kolei

żądając odwołania zakazu, co też zostało zrobionem. Wtedy Boyd wszedł na środek mostu, czas jakiś różnemi sztuczkami zabawiał widzów, poczem śmiało rzucił się do wody i jak strzała wpadł w jej fale. Przez kilkanaście sekund obecni oczekiwali z przerażeniem jego ukazania się, w obawie czy się nie zabił tak gwałtownym spadkiem, — ale nagle wychylił głowę i spokojnie dopłynął do brzegu wśród ogłuszających okrzyków radości i podziwu. Gdy wyszedł na ląd, cały tłum publiczności przedefilował przed nim, rzucając mu w kapelusz szylingi i dolary.

— Lato bieżące odznacza się wszędzie niemal wielkiemi burzami i nagłemi zmianami temperatury; pisma codzienne ciągle zamieszczają wiadomości o różnych wypadkach i pożarach wynikłych z powodu uderzenia piorunu. Z tejże przyczyny miał miejsce straszny wypadek w Pensylwanii, gdzie w pobliżu niewielkiej rzeczki Oil-Creek, piorun uderzył w zbiornik nafty. W tejże chwili rozległ się straszliwy wybuch, zerwany dach spłonął, ziemia drgnęła jak podczas trzęsienia ziemi, słup zapalonej nafty strzelił w górę bardzo wysoko, poczem potokiem stoczył się ze wzgórza, zapalając po drodze inne zbiorniki nafty. Płomienie buchały niebawem, i łącząc się z sobą utworzyły jakby rzekę ognistą, która spływając ze spadkiem naturalnym wpadła do rzeczki Oil-Creek, pokrywając jej wody gorejącą powłoką. Stojący w tem miejscu most żelazny niezwłocznie uległ zniszczeniu, a gorąco tak było gwałtowne że rzeka wyschła w wielu miejscach. Dobiegłszy do Titusvill, groźny ten potok spalił pewną liczbę domów, pomimo dzielnego ratunku mieszkańców i pomocy straży ogniowej przybyłej z wielu osad sąsiednich. Dotąd nie podano jeszcze dokładnej liczby domów, rafineryj, i składów nafty zniszczonych przez pożar, obliczono jednak że samej nafty spaliło się najmniej za 5,000,000 franków.

Nie tak straszne były skutki piorunu pod wodą. W mieście Halifax, w Nowej Szkocyi, nurkowie pracowali przy tamie w przystani Cole Harbor; wtem nadciągnęła burza, podczas której piorun uderzył w pompę powietrzną, idącą pod wodą do jednego z nurków. Wyciągnięto go bezprzytomnego, ale zdołano go ocucić i zupełnie wrócił do zdrowia.

— Dotąd za najwyższą w świecie uchodziła góra „Everest" należąca do łańcucha gór Himalajskich, mająca 29,002 stóp wysokości; obecnie dzienniki angielskie wykazują, że rzeczywiście najwyższą jest świeżo odkryta góra w Nowej Gwinei, nazwana „Herkules," wyniesiona 32,786 stóp nad powierzchnię morza. Herkules leży prawie w środku wyspy Nowej Gwinei, odkrył ją kapitan I. A. Lawson i podaje w sprawozdaniu swojem że tak jemu jak towarzyszom jego wspinającym się na jego szczyt, gdy dosięgli 25,314 stóp, krew puściła się nosem i ustami.

— Od pewnego czasu toczy się zacięta walka między gazem i elektrycznością. Elektryczność zdaje się wołać do gazu: „Tyś już światło stare i zużyte, moda i czas twój już przeszedł, moje panowanie nastaje, jam oświetleniem przyszłości." Gaz wzruszając ramionami, odpowiada: „Daj sobie pokój, tyś cacko i zabawka nadająca się jako oświetlenie do ludnych i ciekawych doświadczeń w gabinecie fizyka, ale niezdolne do zastosowań praktycznych — nie strącisz mnie z tronu. — Otóż zdaje się że oświetleniem przyszłości nie będzie ani gaz ani elektryczność ale — lakier fosforyczny. Wynalazł go przed kilku laty francuz, niejaki Balmaine, na doświadczenia stracił cały fundusz i umarł w biedzie. W parę lat po jego śmierci, rodzina wynalazek opisany szczegółowo w pozostałych papierach sprzedała jakiemuś Anglikowi, który obecnie probuje wprowadzić go w użycie. Odbyte próby miały wykazać że można oświetlać całe apartamenta, sławiej lub mocniej, pociągając tym lakierem sam sufit lub też i całe ściany salonów. Cudowne to oświetlenie nie potrzebuje zapalania, płonie samo z nadejściem zmroku i ciemności a w dzień jest zupełnie niewidoczne; ściany przedstawiają się jakby pociągnięte pięknym białym lakierem. W Anglii probowano z powodzeniem pokrycia tym lakierem wewnętrznych ścian wagonu 1-ej klasy. Ściany te pochłaniają światło dzienne które oddaje w ciemności. Z początku światło jest słabe, lecz gdy wzrok się z niem oswoi, jest o tyle jasne że można z łatwością rozróżnić rysy osób siedzących w wagonie i godzinę na zegarku. Uważają że dla pociągów odbywających długą podróż po drogach posiadających wiele tunelów lakierem tym można będzie zastąpić gaz i naftę. Gazety zagraniczne podają że da się on zastosować i do oświetlania pokoi, jeźli co kwartał ściany pociągane nim będą.—Nie piszą jednak coby to kosztowało.

Do dzisiejszego N-ru **Tygodnika Mód** dołącza się dodatek z drzeworytami i arkusz z krojami.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава 12 Августа 1880 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego Chmielna N. 1530 (20.

Dodatek.

ZE WSPOMNIEŃ SIEROTY.

PRZEZ

T. MARRYAT.

(przekład z angielskiego).

I.

Przeszłość doktora Ford.

Uważamy za rzecz właściwą uwiadomić osoby nie znające miasta Rockborough, że liczy ono sześćdziesiąt tysięcy mieszkańców, prócz konstytującego tam zawsze dość licznego garnizonu, że posiada piękny port, leży na południowem wybrzeżu Anglii, i że handel, przemysł i rękodzielnictwo stanowi główne zajęcie jego mieszkańców.

Miasto dzieli się na dwie części wybitnie odróżniające się od siebie. Jedna z nich, Rockborough, zamieszkana przez arystokracyę miejscową i przybywającą z różnych stron do kąpieli morskich pyszni się swem pięknem wybrzeżem, fortem, placem mustry i kassynami; druga, Mały Rockborough, w której znajdują się warsztaty morskie i arsenał, jest zaludnioną przez mniej zamożną i najuboższą ludność, składającą się po większej części z oficyalistów, handlarzy bydła, starzyzny, ubogich rzemieślników i wyrobników; na ulicach jej można zawsze spotkać pijanych majtków.

Rockborough, jako miasto portowe, a szczególniej jako miejsce kąpielowe, posiadało zawsze znaczną liczbę lekarzy, możemy nawet powiedzieć że w epoce od której zaczyna się nasze opowiadanie, to jest dziesięć lat temu, znajdowało się tam kilku biegłych i uczonych lekarzy, a najsławniejszym i najpopularniejszym z nich był doktór Ford, uważany za wyrocznię tak przez bogatych jak przez ubogich.

Dom jego był już tak dobrze znanym, że tabliczka z nazwiskiem przybita na drzwiach, stała się zupełnie bezużyteczną, a dzwonek poruszany w dzień i w nocy nie znał prawie spoczynku.

Nie było ulicy, tak w jednej jak drugiej części miasta, na której nie spotykanoby jego powozu przejeżdżającego lub stojącego przed drzwiami któregoś z pacyentów.

Popularność doktora Ford była tem dziwniejszą, że nie zawdzięczał jej ani piękności, ani zbytniej pobłażliwości na kaprysy pacyentów, że koledzy wtórowali szczerze pochwałom głoszonym przez jego chorych, a nakoniec że tak wielka wziętość nie rozbudziła w nim pychy i próżności.

Doktór Ulryk Ford nie przyciągał do siebie chorych pochlebstwami, nie przestraszał ich grzmiącym głosem, nie przenosił, dla przypodobania się damom ploteczek z domu do domu. Nie miał ani czarnych oczu o głębokiem spojrzeniu, ani kruczych i miękkich włosów, które Angielki tak lubią. Zkądże więc pochodziła jego popularność, jego, że się tak wyrazimy, nieograniczona władza? Nikt nie ośmieliłby się przekroczyć lub nie spełnić przepisów jego. Najkrnąbrniejsi pacyenci, którzy leczeni przez innych, rzucali pigułki w ogień, a mikstury wylewali za okno, połykali potulnie lekarstwa przepisane przez doktora Ford'a. Dozorczynie chorych lubiące udawać lekarzy, i zmieniać stosownie do swego przekonania ich rozporządzenia, pilnując jego chorych mogły służyć za wzór posłuszeństwa. Dzieci, odpychając rozpaczliwie podawane im lekarstwa, przyjmowały je cicho i posłusznie, ulegając wpływowi jego łagodnego ale zarazem stanowczego spojrzenia.

Tę władzę nad umysłami bogaczów i ubogich, zawdzięczał on swym wysokim zdolnościom i głębokiej nauce. Mężczyźni, kobiety, dzieci, ulegali mu pomimowolnie, a koledzy zbyt się nim szczycili aby mu zazdrościć mogli. Co do niego, możemy zaręczyć że trudnoby znaleźć człowieka mniej zarozumiałego, i mniej niż on myślącego o swych zdolnościach, a jednak pozyskał w krótkim czasie tak wielką sławę, że nie jednemu zawróciłoby to w głowie.

Dziesięć lat temu nic o nim nie słyszano w Rockborough, a teraz imię jego było powszechnie znane, i wzywano go na konsylium w okolice miasta. Dziesięć lat temu sądził, że jeżeli pozyska sławę i ogólne uznanie, wszystkie jego życzenia zostaną spełnione, teraz kiedy już posiadł oboje, gotów był powiedzieć że i to także próżność, próżność, i wszystko próżność.

Doktór Ford był zawsze spokojny i łagodny, na pozór zimny i obojętny; przenikliwsze umysły domyślały się że w życiu jego istniała jakaś tajemnica którą ukrywał starannie.

Powiedzieliśmy że przed dziesięciu laty Ulryk był nieznanym w Rockborough, ale odnosi się to jedynie do jego stanowiska jako doktora gdyż osobiście znano go tam bardzo dobrze i z korzystnej strony. Jego stosunki rodzinne nie pozostawiały nic do życzenia. Sir Lionel Halsted, rodzony brat jego matki, mieszkał w Trampton, swym dziedzicznym majątku, leżącym o kilka mil od Rockborough. Jednak nie pochlebiało to wcale dumie rodziny Halsted'ów że tak blizki kuzyn był doktorem, tem więcej że mieli żal do jego matki, która idąc za pana Ford popełniła mezalians przynoszący ujmę całej rodzinie, dla tego też później, kiedy pani Ford już po śmierci męża namówiła syna, aby rozpoczął praktykę lekarską w Rockborough, w nadziei że brat jej posiadający liczne stosunki zechce ich użyć na korzyść siostrzeńca, ten człowiek próżny i dumny ze swych bogactw, widział w tem tylko nową dla siebie obrazę, i zawołał z gniewem: „Czy siostra moja sądzi że mało jeszcze wstydu ściągnęła na rodzinę zaślubiając jakiegoś tam plebejusza, że teraz namówiła swego syna, doktora, który zapewnie dotąd nie miał ani jednego pacyenta; aby mieszkał w tak blizkim ze mną sąsiedztwie?"

Jednak sir Lionel nie mógł zamknąć przed siostrzeńcem drzwi swego domu, i młody doktór bywał często w Trampton wraz z matką i siostrą, pomimo że nie oczekiwało ich tam zbyt serdeczne przyjęcie. Wszystko jednak szło nieźle dopóki doktór Ford nie zakochał się w swej kuzynce, Cecylii Halsted; a co gorsza nie pozyskał jej wzajemności.

Ulryk Ford był jeszcze bardzo młody i niedoświadczony, nie odznaczał się pięknością, ale posiadał powierzchowność nader pociągającą, wielkie zdolności i dojrzałość umysłu, o wiele wyprzedzającą jego lata.

Cecylja Halsted była dla niego ideałem piękności, wdzięku i słodyczy. Nie był bogatym ale miał już dochody, i czuł że one z każdym rokiem wzrastać będą; zresztą był gotów czekać choćby lat kilka gdyby tego żądano, słowem okazał się dość naiwnym aby wyobrazić sobie że młodość, zdrowie, cierpliwość, szczera miłość, są przymiotami popłacanemi na targowisku małżeńskiem, i przedstawił wujowi szczere swoje nadzieje i życzenia.

Oburzyło to sir Lionela że siostrzeniec mógł pomyśléć nawet o czemś podobnem. Jakto! on, sir Lionel; miałby oddać Cecylję, najmłodszą, najpiękniejszą, najmilszą ze swych córek. Ulrykowi po-

czynającemu dopiero lekarzowi, bez głośnego nazwiska, bez przyszłości, który nie mógł nawet obiecywać sobie że kiedyś zajmie jakieś wyższe stanowisko! Czy nie wiedziano o tem że rękę swej ukochanej córki odda tylko komuś pochodzącemu z dawnej szlacheckiej rodziny? Nie pojmował siostrzeńca; zdumiewała go jego zarozumiałość, odmówił mu też wyraźnie, stanowczo, i dał do zrozumienia że czem rzadsze będą jego odwiedziny w Trompton, tem dla wszystkich będzie lepiej.

Stary gentleman nie umiał ocenić kosztownego dyamentu, dla tego że nie był jeszcze dostatecznie oszlifowany, nie potrafił odgadnąć człowieka genialnego, człowieka dobrego i szlachetnego, w młodzieńcu ubiegającym się o rękę jego córki, albo też nie chciał widzieć i wolał zamknąć oczy: Dla sir Lionela Ulryk Ford był tylko ubogim chłopcem, nie posiadającym ani wziętości ani sławy, i to było dostatecznem aby mu odmówić stanowczo, nie pozostawiając iskierki nadziei.

Zakochani, rozstając się z sobą przyrzekli sobie wieczną miłość, niewzruszoną wierność, w nadziei że szczęśliwa zmiana w położeniu Ulryka, może także wpłynąć na zmianę postanowienia sir Lionela.

Jakże to jednak mało osób może czynić podobne przyrzeczenia? Któż może zaręczyć że za rok uczucia jego nie ulegną żadnej zmianie? Nasz umysł podlega takim samym zmianom jak nasze ciało rozwija się wraz z naszą siłą fizyczną, dochodzi do dojrzałości jednocześnie z naszem ciałem, słabnie i podupada w zimie naszego życia.

Miłość powinnaby poprzestawać na obecnej chwili, a słowo *kochać* wypadałoby tylko używać w czasie teraźniejszym, o czem Ulryk przekonał się wkrótce z własnego doświadczenia. Pożegnał piękną kuzynkę, i skończyłoby się na tem, gdyby oboje byli podobni do ogółu młodych ludzi, ale na nieszczęście stanowili między nimi wyjątek, on co do siły ona co do słabości charakteru.

Sir Lionel i lady Halsted którym przywiązanie córki do ubogiego kuzyna dozwoliło poznać jej romantyczne usposobienie, rozciągnęli teraz nad nią ścisły nadzór, w obawie aby znów nie powtórzyło się coś podobnego. Ale miss Cecylja umiała wyzwolić się z pod tak przykrego dozoru, uciekając z domu dla zaślubienia młodego nauczyciela rysunku, nazwiskiem Fleming.

Wypadek ten stał się głośnym w całej okolicy, i przez jakiś czas o tem tylko mówiono tak na wsiach jak w mieście. Rozpowiadano że sir Lionel dowiedziawszy się o ucieczce córki, podniósł ręce do nieba i przysiągł że nigdy nie zechce widzieć ani jej, ani wybranego przez nią męża. Mówiono także wszędzie że lady Halsted zawołała z jękiem boleści, że wolałaby zobaczyć córkę w trumnie, niżeli dowiedzieć się o tem że ściągnęła swem postępowaniem taką hańbę na całą rodzinę. Że nakoniec sir i lady Halsted przykazali dzieciom, aby w ich obecności nie poważyły się nigdy wymówić nazwiska wyrodnej córki.

Był to rzeczywiście straszny cios dla dumy rodzinnej, rana głęboka zadana władzy rodzicielskiej. Wypadek ten sprawił silne wrażenie w wielkim świecie, do którego sir Lionel należał, i nie szczędzono mu przesadzonych oznak współczucia; ale nikomu nie przyszło na myśl zapytać się co wówczas przecierpiał Ulryk Ford, jak przeniósł stratę najdroższych mu złudzeń, lecz gdyby nawet ktoś zadał podobne pytanie, prawdopodobnie nikt, nie wyłączając matki i siostry, nie potrafiłby na nie odpowiedzieć.

Ulryk Ford nie opuścił Rockborough otrzymawszy od wuja odmowną odpowiedź: przeciwnie, ufny w swą siłę moralną zabrał się odważnie do pracy, i ta praca wydała bujne owoce.

Ponieważ był zawsze mało mówiący i poważny, matka i siostra nie dostrzegły innej zmiany w jego postępowaniu, po ucieczce Cecylii, nad tę jedynie że gorliwiej jeszcze oddał się nauce, gdyż uważał bowiem że praca umysłowa jest najskuteczniejszym środkiem na ukojenie cierpień moralnych.

Czy Ulryk Ford uzyskałby tak rozgłośną sławę jaką się teraz cieszył, gdyby Cecylja została jego żoną, i gdyby szczebiotanie drobnych dzieci odrywało umysł jego od pracy? Zdaje nam się że możnaby na to odpowiedzieć przecząco.

Węzły rodzinne są bezwątpienia silną zachętą do pracy, ale dają także często powód do roztargnienia, nie łatwo oddać się zupełnie badaniom naukowym, lub też wyrachowaniom handlowym czy przemysłowym, skoro pół tuzina drobnych rączek ciągnie za poły surduta lub kilka srebrnych głosików pieszczotliwie odzywa się do ciebie. W każdym razie doktór Ford nie mógł się użalać na podobne przeszkody, dla tego też wzniósł się tak wysoko i tak wielkiej używał wziętości; ale czy tak świetne położenie zaspokoiło wymagania jego serca?...

Upłynęło już blizko czternaście lat od opisanych powyżej wypadków, do chwili od której zaczynamy nasze opowiadanie.

Ulryk Ford miał lat trzydzieści pięć, matka jego już nie żyła, ale mieszkał razem ze swą siostrą Maryanną, zupełnie do niego niepodobną, tak co do charakteru, jak co do powierzchowności; ale jedyną osobą połączoną z nim związkami krwi.

Doktór Ford unikał długo wszelkich stosunków z wujem i jego rodziną, nakazywała mu to duma i poczucie godności osobistej. Idąc za natchnieniem tej dumy postanowił że nie przestąpi progu domu sir Lionela, dopóki nie otrzyma formalnego zaproszenia, a poczucie swej wartości mówiło mu że nadejdzie chwila w której obecność jego będzie bardzo tam pożądaną, i w której cała rodzina będzie się tem chlubić że jest z nim spokrewnioną. Po kilku latach spełniły się jego przewidywania. W jakiś czas po ucieczce Cecylii, i po ślubie jej starszej siostry z lordem Vivian, sir Lionel zaczął dawać do zrozumienia siostrzeńcowi, który już sobie wyrobił niepoślednie stanowisko że radby go zobaczyć w Trampton, ale Ulryk udawał że się tego nie domyśla, i widywał się z wujem wtenczas tylko kiedy on sam go odwiedził.

Pewnego dnia nakoniec sławny doktór odebrał bilecik od lady Halsted, z prośbą aby jak najprędzej przybył do wuja niebezpiecznie chorego, gdyż podagra doszła do żołądka; błagała go więc aby uczynił wszystko co można dla uratowania mu życia. Ulryk udał się tam natychmiast, a sir Lionel odzyskał wkrótce zdrowie, z tem przekonaniem, że zawdzięcza to jedynie siostrzeńcowi, i odtąd między Trompton a Rockborough panował stały pokój.

Od tego czasu cała rodzina takiem zaszczycała go zaufaniem, że jemu tylko powierzała staranie o swem zdrowiu, co jednak nie powiększyło bynajmniej jego dochodów. Ulryk Ford leczył darmo bez wyjątku, nawet dzieci lady Julji Vivian spędzającej zawsze zimę w Rockborough, podczas gdy małżonek jej tracił zdrowie i pieniądze w Paryżu, w towarzystwie baletniczek i tym podobnych osobistości.

Jeżeli jednak arystokratyczna rodzina, zapominała że na Boże Narodzenie wypada zapłacić lekarzowi należne honoraryum, wynagradzała mu to zaproszeniami na wszystkie proszone obiady, od których wstawał najczęściej przy pierwszem daniu, aby pobiedz do kogoś ze swych chorych.

Tak więc Ulryk doszedł do zamierzonego celu, stanął na równi z człowiekiem który go kiedyś odtrącił tak pogardliwie. Zadawalniało to jego dumę chociaż często wzywano go bez rzeczywistej potrzeby, i nie mógł spodziewać się innej nagrody nad przekonanie że spełnił swój obowiązek. Zresztą, jak to często mówiono w Trampton, Ulryk miał tak wiele pieniędzy, że to co oni mogliby mu ofiarować byłoby niczem dla niego.

Że miał dużo pieniędzy to nie podpadało wątpliwości, ale zdawał się przywiązywać do nich mało ceny, jak zresztą do wszystkich innych dóbr tego świata, bo wydawał ja równie prędko jak zarabiał. Co do jego uczynków miłosiernych tyle tylko możemy powiedzieć, że jeżeli dawał coś na cele dobroczynne, to się z tem ukrywał starannie; nazwisko jego nie znajdowało się nigdy na żadnej liście składek, wolał dawać sam, z ręki do ręki, gdy widział tego potrzebę. Nie przyznawał się nigdy do swych dobrodziejstw i nie przyjmował ani pochwał ani podziękowań.

W charakterze doktora Ford było coś dziwnego i niezrozumiałego, można nawet śmiało powiedzieć, że dla osób które nie chciały sądzić go powierzchownie, ale starały się poznać i ocenić dokładnie, przedstawiał on prawie niepodobną do rozwiązania zagadkę. Nikt nie wiedział co lubi, lub czego nie lubi, w czem ma upodobanie a co mu nie miłe, w co wierzy i w co nie wierzy; nawet rodzona siostra nie umiałaby na to odpowiedzieć. Przyrównywano go do zamkniętej na kłódkę księgi, od którejby klucz zgubiono; było to jednak zdanie osób nie posiadających dość przenikliwości aby mogły odgadnąć rzeczywiste jego uczucia. Postaramy się przedstawić dokładnie wszystkie strony jego charakteru, a może uda nam się rozwiązać tę trudną zagadkę.

II.

Doktór Ford i jego pacyenci.

Ciemno, zimny wiatr wiejący od morza harcuje po ulicach miasta Rockborough, potoki deszczu biją o szyby, oblewają twarze i suknie przechodniów, dowodząc bezużyteczność materproofów i parasoli. Ale w jadalnym pokoju doktora Ford tak ciepło i cicho że trudnoby się domyśleć iż taka burza szaleje na dworze.

Jest to pokój średniej wielkości, jak zresztą dom cały, gdyż Ulryk utrzymuje że w wielkim pałacu musi być smutno, jeżeli go nie zajmuje liczna rodzina. Nie można także było nic zarzucić umeblowaniu domu, wszystkie znajdujące się w nim przedmioty, zarówno służące do użytku jak do ozdoby, były trwałe i pięknie wykończone.

Mówiono powszechnie że doktór Ford wydawał ogromne summy na upiększenie swego pomieszkania, i było to poniekąd prawdą, bo skoro Ulrykowi przyszła raz ochota nabyć jakiś przedmiot z dziedziny sztuki, to jakiś piękny wyrób z bronzu, drzewa lub porcelany, kupował go nie zważając na cenę, nie przez zamiłowanie w zbytkach, ale dla okazania że może mieć co zapragnie, oraz jako dowód jak silną ma pod każdym względem wolę.

Chcąc dać prawdziwe wyobrażenie o tem jaką

wartość przywiązywał do tych dzieł sztuki, dość powiedzieć, że jeżli tylko ktoś pochwalił z pewnym zapałem świeżo nabyty przedmiot, przechodził on natychmiast w jego posiadanie, co jednak nie dowodziło że doktór Ford nie miał rzeczywistego zamiłowania do sztuk pięknych, i ktokolwiek był w jego mieszkaniu nie mógł nawet posądzić go o to.

Doktór Ford stał właśnie przed kominkiem w jadalnym pokoju, i rozmawiał ze swym przyjacielem; panem Bertram, pijąc Xeres po obiedzie.

Jakkolwiek Ulryk nie był pięknym, miał jednak w sobie coś niepospolitego, i mało kto mógłby minąć się z nim nie zwróciwszy na niego uwagi.

Nasuwa mi się na myśl pytanie; ilu też pięknych mężczyzn, to jest mężczyzn odznaczających się pięknością rysów, potrafiło wzbudzić miłość prawdziwą i stałą? Charakterystyczne cechy siły umysłu i ducha zostają w zupełnej sprzeczności z pięknością, a kobieta ceni najwięcej w mężczyźnie te właśnie przymioty których sama nie posiada. Oczy pełne wyrazu, słodyczy, marzące i tkliwe; drobne i wykończone rysy, małe nóżki, białe, zgrabne i wypieszczone rączki, stanowią wojenny rynsztunek piękniejszej połowy rodu ludzkiego, i brzydsza nie powinna wdzierać się w jej prawa. Wiemy wszyscy że Antinus i Adonis mieli wielbicielki, sądzę jednak że Mars i Jowisz wzbudzali trwalsze uczucia.

Przytoczymy tu zwierzenie się jednej z kobiet zawierające w sobie głęboką prawdę. „Kocham bardzo mego męża, powiedziała, bo wiem że gdyby chciał tylko, mógłby mnie zgnieść jednym palcem.“

Gdyby tylko chciał, ale nie chciał, i z tego właśnie wypływał urok jego. A jakkolwiek tegocześni mężowie, przynajmniej należący do wyższych sfer społeczeństwa, nie mają zwyczaju popisywać się ze swą siłą kosztem żon swoich, już to samo że mogliby to uczynić a jednak nie czynią, stawia ich wysoko w wyobrażeniu kobiety.

Kobieta jest stworzoną do uległości, i pomimo tysiącznych argumentów któremi usiłowano dowieść że może i powinna panować, nie podpada wątpliwości że jej samej miło jest jeżeli czuje iż ten którego wybrała posiada niezłomną wolę, niezaprzeczoną wyższość umysłu, siłę moralną i fizyczną zapewniającą jej opiekę, i nie dopuszczającą z jej strony chęci oporu. Jeżeli ustępuje jej często, przebacza jej usterki, uwzględnia jej słabość, podwyższa to jeszcze jej szacunek i miłość dla niego, ale wolałaby już aby jej mąż był zbyt surowym i wymagającym, nad to przekonanie że nie posiada silnej woli i stałego charakteru.

W każdym razie nikt nie mógłby zarzucić Ulrykowi Ford że jest zbyt pięknym lub słabym. Jest wysoki, silnie zbudowany, ma ruchy zręczne, elastyczne, cała jego postawa zdradza silne zdrowie, ubiera się starannie ale bez wyszukanej elegancyi. Głębokie myśli i badania naukowe zarysowały już lekkie zmarszczki na szerokiem i wysokiem jego czole; nos jest trochę za duży, a broda szeroka; usta wyrażają wielką stanowczość i stałość charakteru (niektóre osoby nazywały to uporem, ale my sądzimy że nie musiały widzieć nigdy tych ust uśmiechających się do dzieci wyciągających rączęta do doktora Forda, i dla tego wygłaszały podobne zdania). Twarz wyrażałaby surowość, gdyby nie słodycz i jakaś smętność malująca się w jego głębokich i przenikliwych oczach. Na zakończenie dodamy że doktór Ford ma czarne włosy, i nie nosi brody; że postawa jego pełna godności i powagi, od pierwszego wejrzenia wzbudza zaufanie.

Przyjaciel z którym rozmawiał w tej chwili, stanowił z nim uderzającą sprzeczność. William Bertram zamierzał zostać doktorem, i jednocześnie z Ulrykiem Ford rozpoczął nauki, ale że nie posiadał, dość silnego zdrowia i był zbyt wrażliwym, uznał że nie jest stworzonym na lekarza i przeszedł na wydział teologiczny.

Bertram był wysoki i wysmukły jak trzcina, włosy miał czarne, a figlarny wyraz jego ciemnych oczu przypominał jeszcze bardzo wesołego studenta usta nie nabrały także poważniejszego wyrazu, i zdawały się prędzej stworzone do śmiechu jak do przemawiania z kazalnicy.

Wiliam był obecnie plebanem w Oxley, małem miasteczku leżącem o kilkanaście mil angielskich od Rockborough; ale ponieważ utrzymywał ciągle przyjazne stosunki z doktorem, odwiedzał dość często dawnego kolegę.

Przybywał zawsze niespodziewanie, i zawsze doznawał serdecznego przyjęcia; dziś także był na obiedzie u doktora; a następnie przyniesiono wino, i miss Ford zostawiła ich samych.

— Powiedz mi Ford, zawołał nagle wesoły pastor patrząc na przyjaciela, czemu nie żenisz się do licha?

Widać Bertram musiał rachować wiele na swą dawną zażyłość z Ulrykiem, skoro poważył się zadać mu podobne pytanie; jego znajomi z Rockborough nie ośmieliliby się nigdy dotknąć podobnego przedmiotu, mówiąc do człowieka tak skrytego jak doktór Ford.

Ulryk podniósł kieliszek z Xeresem, jakby chciał zobaczyć lepiej bursztynowy kolor wina, i czas jakiś przyglądał mu się w milczeniu. Zdaje się dla tego jedynie patrzył tak długo i uważnie na smaczny napój zanim go do ust przysunął, aby przyjaciel nie dostrzegł że twarz jego pokrył silny rumieniec, wywołany tem niespodziewanem zapytaniem.

— Mógłbym zadać ci toż samo pytanie, odpowiedział nakoniec Ulryk.

— Bezwątpienia, i gotów jestem na nie odpowiedzieć. Ożeniłbym się dziś jeszcze, gdybym miał stosowne utrzymanie, ale zdaje mi się że w dzisiejszych czasach trudnoby mi było znaleźć pannę, któraby się nie skrzywiła na mnie, gdybym ją poprosił aby zechciała spędzić ze mną całe życie na plebanii w Oxley.

— Zdaje się że jest to dość obszerny i wygodny domek.

— Tak, dla kawalera. Zresztą czterysta funtów rocznego dochodu do niedostateczne na utrzymanie i wychowanie rodziny, a nie mogę tak zaraz liczyć na awans. A potem nie mam sposobności poznać osoby z którą mógłbym się ożenić, gdy ty przeciwnie widzisz ich dzień najmniej pół tuzina.

— Mylisz się, nie widzę nawet jednej, nie mam czasu bywać w tak zwanym *towarzystwie* naszego miasta.

— A pacyentki?

— Doktorzy nie mają zwyczaju kochać się w swych młodych pacyentkach, raz że to przeciwne zasadom, powtóre, że może zbyt dobrze je znają.

— A jednak, kochany Ulryku, powinienbyś się ożenić.

— Po co? jakążby mi to przyniosło korzyść? Siostra moja umie bardzo dobrze zarządzić domem.

— No! tak, zapewnie, ale zawsze lepiej mieć dobrą i kochającą żonę.

— Stokroć gorzej, odpowiedział, śmiejąc się doktór.—Maryanna nie miesza się nigdy do moich interesów, i gotowa zawsze spełnić moje rozkazy, gdy przeciwnie żona chciałaby prawdododobnie poznać wszystkie moje tajemnice, i użalałaby się ciągle że ją zaniedbuję, gdybym nieustannie nie myślał o dogadzaniu wszystkim jej kaprysom. Dla doktora, kochany Wiliamie, zmuszonego przepędzać trzy części czasu za domem, żona i dzieci, to nabytek całkiem niepotrzebny.

— Świat nie podzieli tego zdania, odpowiedział Bertram. — Wiesz zapewnie jaki przesąd istnieje przeciwko doktorom nie żonatym; w każdym razie uważam sobie za obowiązek przypomnieć ci o tem. Słyszałem już nie jedną osobę utrzymującą, że gdybyś się ożenił, praktyka twoja powiększyłaby się znacznie.

— Bardzo dziękuję, kochany przyjacielu, zaledwie mogę podołać tej jaką mam obecnie. Pan Austin uprzedził mnie nawet, że na przyszły rok będę musiał przybrać drugiego pomocnika; czy chcesz abym się zapracował?

— W każdym razie, odezwał się znów Bertram, choćby dla uniknienia pozorów, lepiej mieć żonę niż...

— Niż zalecać się do żon cudzych, odpowiedział Ulryk z trochę złośliwym uśmiechem, pod tym względem zgadzam się z tobą zupełnie, tylko że ja nie chcę ani własnej, ani też cudzej żony.

W tej chwili służący doktora przyniósł kilka listów na tacy, i szepnął coś panu do ucha, a jednocześnie miss Ford ukazała się we drzwiach zapytując:

— Czy mogę już kazać podać kawę, Ulryku?

— I owszem, Maryanno, i nawet niech się śpieszą, gdyż wzywają mnie i muszę wyjść natychmiast.

Na te słowa twarz miss Ford przybrała wyraz niezadowolnienia.

— Przecież nie wyjdziesz na tak ulewny deszcz i wicher? odrzekła.

— Obowiązek nakazuje mi nie zważać na to. Wszak nie potrzebuję przepraszać cię kochany Bertramie, że cię opuszczam tak nagle? wiesz że słucham głosu obowiązku: zresztą spodziewam się że będę mógł wrócić za godzinę, a wtedy prowadzić będziem dalej rozpoczętą rozmowę. Tymczasem Maryanna dotrzyma ci towarzystwa i zabawiać będzie opowiadaniem miejscowych plotek.

— Dobrze, mogę do dziewiątej czekać na ciebie.

Wypiwszy prędko filiżankę gorącej kawy, doktór zawołał na Whelera aby mu podał paltot.

— Ach! przez litość, Ulryku, nie wychodź w czas tak szkaradny; wiesz przecie jak silnie grippa grassuje w mieście. Poślej pana Austin, rzekła miss Maryanna.

Doktór nic nie odpowiedział, włożył paltot, owinął się szalem i wziąwszy laskę i kapelusz, zwrócił się ku drzwiom.

— To przynajmniej każ zaprządz i jedź powozem, rzekła znów płaczliwym głosem.

— A! tak, wyborny pomysł! niszczyć powóz i konie na taką flagę... Do widzenia, wrócę za godzinę; inne wizyty Austin załatwi. I wyszedł wydawszy jakieś rozkazy służbie.

— Zawsze równie niestrudzony i równie stanowczy; nikt nie zdoła odwieść go od powziętego postanowienia! zawołał Wiliam Bertram, podczas gdy drzwi zamknęły się głośno za wychodzącym Ulrykiem, a miss Ford przysunęła się do kominka.

— Miss Ford, przekonywałem koniecznie brata twego że powinien się ożenić, ale daremne trudy, ani słuchać nie chce.

Miss Maryanna otworzyła szeroko małe swoje czarne oczki; przedstawiała ona tak niezrównaną

pod każdym względem sprzeczność z doktorem, że patrząc na nich niktby nie przypuścił że łączą ich węzły tak blizkiego pokrewieństwa.

Miss Maryanna miała rysy ostre, wyraz twarzy przypominał łasicę, oczki przenikliwe, język jadowity; nie miała nic wspólnego z bratem prócz chyba tylko stałości charakteru, ale i ta nie kierowana jak u niego, rozwagą i rozumem, zamieniła się w upór.

Nikt nie przewyższał jej pod względem porządku i zarządu służbą; najmniejszy pyłek kurzu, mikroskopijna pajęczyna nie zdołały ujść jej oka; była to kobieta wzorowo utrzymująca rachunki wydatków gospodarskich, ale nie towarzyszka umiejąca zrozumiéć uczucia i potrzeby serca, a nadewszystko nie zdolna podtrzymać w kimś ożywczego płomienia tkliwych uczuć. Była dwa lata starsza od brata; chlubiła się nim i dumną była z niego, ale zarazem bała się go bardzo; to też dowiadując się o zuchwałej śmiałości pana Bertrama, tak niewymownie została zdumioną, iż uczuciu temu mogło chyba dorównać jej niezadowolnienie na samą myśl że ktoś prowadził z jej bratem rozmowę podobnej treści. Miss Ford niczego nie obawiała się więcej nad to aby młoda jakaś kobieta została panią domu, w którym ona od lat tylu rządziła niemal samowładnie.

— Dla czego przybrałaś pani tak osłupiałą minę? rzekł Bertram widząc jak niespodziewany skutek wywarło jego zwierzenie, — czyż byłoby to coś nadzwyczajnego lub niesłychanego, aby przyjaciel mój pomyślał raz przecie o ożenieniu?

— Cóż Ulryk panu odpowiedział? zapytała tylko.

— Oh! po swojemu, że gdyby wszystkie kobiety miały się potopić, nie zapłakałby za niemi... Ale nie —nie zupełnie tak odpowiedział, dodał, widząc coraz większe zdumienie miss Ford—ale jednakże zapatruje się na ożenienie z całkiem odmiennego niż ja stanowiska... Czy nie domyślasz się, miss, co może być powodem tej dziwnej jego niechęci?... czyżby dotąd nie zapomniał tej starej historyi? dodał przysuwając się do kominka i zamyślając się.

— Jakiej starej historyi? zapytała.

— No, swojej dawnej miłości dla kuzynki swej miss Halsted.

— Swojej dawnej miłości!... Co Ulryk miałby myśléć dotąd o Cecylii Halsted — czyli raczej o mistress Fleming gdyż tak nazywa się ona obecnie?... Czyś pan rozum stracił żeś wypowiedział taką niedorzeczność!... a toć to już czternaście lat minęło...

— Dla ludzi pewnego usposobienia nic to nie znaczy czy minie lat czterdzieści, czy czternaście lub cztery, odrzekł zamyślony pan Bertram.

Miss Maryanna głośnym wybuchnęła śmiechem.

— Daruj pan, ale wypowiedziałeś coś tak pociesznego, że nie mogłam wstrzymać się od śmiechu. Wydaje mi się to oryginalnie śmiesznem gdy słyszę pana posądzającego Ulryka o zachowywanie w pamięci tych przestarzałych wspomnień. Od owego czasu ani razu nie wymówił imienia tej kobiety. a pan przypuszczasz że ciągle myśli o niej... O! kochany panie Bertram, gdybyś go znał tak dobrze jak ja, nic podobnego nie przyszłoby ci do głowy.

— Cieszy mnie to zapewnienie pani, odrzekł oschle.

— Ulryk całą duszą oddany jest swemu zawodowi — jak to jest jego obowiązkiem — mówiła miss Ford, przybierając minę arcypoważną, odpowiednio do ważności przedmiotu rozmowy,—i myślę że dużo wody upłynie, zanim ktośkolwiek zdoła stanąć między nim a powołaniem jego. Ożenienie nie zdołałoby uczynić go szczęśliwym niż jest teraz, a łatwo mogłoby przeciwne sprowadzić następstwa—zatem mojem zdaniem nie powinien się żenić.

Nie mając, czy nie mogąc wypowiedzieć argumentów zbijających dowodzenia miss Maryanny pan Bertram zmienił przedmiot rozmowy.

Pod ten czas doktór Ford nie zważając na deszcz i wicher, śpiesznym krokiem dążył do mieszkań swych pacyentów. Noc była zimna i ciemna, jedna z tych, podczas których nie powinno się bliźnich swoich narażać na wychodzenie, jak chyba w wyjątkowych razach, jeśli chodzi o chorobę, śmierć lub przyjście na świat.

Doktór Ford wiedział dobrze iż żaden tak ważny powód nie usprawiedliwiał nocnej jego wycieczki, a jednak nawet w duchu nie użalał się nad sobą i nie szemrał, tak ściśle zjednoczył się z zawodem swego wyboru, iż stał się posłusznym niewolnikiem jego obowiązków.

Pierwszy dom przed którym się zatrzymał, zamieszkany był czasowo przez kuzynkę jego, lady Vivian, która pisała do niego prosząc żeby przyszedł *natychmiast*.

— Cóż tam, Julio, rzekł łagodnie wchodząc do salonu, spodziewam się że nie ma nic złego?

Lady Vivian była siostrą biednej Cecylii i bardzo do niej podobną, i oto powód dla którego doktór Ford nie odmawiał nigdy żadnemu jej wezwaniu.

— No, żyjemy wszyscy, odpowiedziała lady Julja ale moja mała ma jakoś ciężki oddech, a bona odpowiedziała mi że Rolandowi wyrzuciły się na piersiach jakieś krosty.

— Pójdźmyż do nich zaraz, odrzekł spokojnie Ulryk; zapewnie czas tak szkaradny nabawił małą kataru—ależ to minie.

Lady Vivian zaprowadziła kuzyna do pokoju dziecinnego. Tłusta dziewczynka leżała na łóżeczku w mocnym śnie pogrążona; oddech rzeczywiście był ciężki, a nosek zatkany katarem, wydawał wcale nie harmonijne sapanie. Master Roland siedział jeszcze w fotelu przed kominkiem, grubą owinięty kołdrą. Rozpieczony chłopak przybrał dramatyczną pozę zagrożonego niebezpieczną chorobą.

— Zdaje mi się że mała jest teraz lepiej jak przed chwilą, rzekła młoda matka pochylając się nad łóżeczkiem córeczki. Przed chwilą oddech jej tak był ciężki że i mnie i bonę okropnie przeraziła. Ale mam nadzieję że nie będzie to przecie zapalenie płuc?

Doktór przez chwilę milcząc wpatrywał się w dziewczynkę, poczem rzekł do matki:

— Nie ma nic ważnego, możesz być spokojna, Juljo; mocny katar i nic więcej, niech parę dni nie wychodzi na powietrze i ubieraj ją ciepło.—A teraz na ciebie kolej, Rolandzie, cóż ci to mój chłopcze?

Jak wszystkie w ogóle dzieci tak i Roland bardzo lubił doktora Ford, to też zerwał się prędko z fotela i pobiegł do doktora.

— Spojrz tylko, panie doktorze, rzekła bona, jakie czerwone plamy wyrzuciły mu się na piersiach i na ręku; i mówiąc to zsunęła koszulkę z ramion chłopca. — I milady i ja obawiałyśmy się szkarlatyny...

Zamilkła wyczytawszy żywe zaprzeczenie w oczach doktora.

— Włóż mu napowrót koszulkę i połóż go do łóżeczka; mała niestrawność i nic więcej, — jutro będzie zupełnie zdrów.

Wracając z lady Julją do salonu, doktór rzekł do niej:

— Więc rodzice twoi, Juljo, powrócili już z Londynu; widziałem dziś w mieście ich stangreta,

— Tak, powrócili onegdaj, odpowiedziała (zapominając przeprosić kuzyna że go trudziła daremnie). Wilfred i Archibald powrócili z nimi., Ale, czy wiesz że ojciec znowu odebrał list od Cecylii?

— Nic o tem nie słyszałem, odrzekł, a każde słowo krótkiego tego frazesu wyszło z ust jego tak wyraźnie jakby wyrąbane. Baczny dostrzegacz dojrzałby niezawodnie że gdy je wymawiał twarz jego przybrała bardzo surowy wyraz, ale lady Vivian nie grzeszyła zbytnią przenikliwością, a potem szła przed kuzynem.

— List Cecylii zrobił ojcu przykrość a zarazem rozgniewał go bardzo, gdyż występuje ona w nim w charakterze osoby obrażonej i skrzywdzonej, a nadto odgraża się iż da poznać światu postępowanie rodziców względem niej od czasu jej zamąż-pójścia... Sam przyznasz że to co najmniej niedorzeczne i musiało oburzyć ojca. Prawie pewna jestem że list ten zniweczy dobre chęci ojca; jeźli mógł je żywić względem niej.

— Czy znajduje się w niedostatku?

— A mogłożby być inaczej? Wiesz przecie że Fleming'owie nigdy żadnego nie posiadali funduszu.

— Z jakiejże miejscowości list jej jest wysłany?

Zadał to pytanie z miną najzupełniej obojętną—tak przynajmniej zdawało się Julii, która siedząc naprzeciw niego nie dostrzegła w twarzy jego ani śladu choćby najlżejszego wzruszenia.

— Doprawdy, nie umiem odpowiedziéć na to pytanie, chociaż mama powiedziała mi nazwę tej miejscowości; zdaje mi się że to ta sama rybacka mieścina, w której Cecylja zamieszkała od dnia w którym opuścił ją nikczemny jej małżonek. Przyznam się że pojąć nie mogę co ją zatrzymuje w tak zakletym kącie, chyba że brak pieniędzy albo zły stan zdrowia nie dozwalają jej go opuścić. Smutne to i niemiłe, kochany kuzynie.

— Zapewnie odrzekł Ulryk, zabierając się do wyjścia.

— Ojciec byłby daleko lepiej zrobił, gdyby wówczas okazał się przychylniejszym dla ciebie, kochany kuzynie. Przez miłość dla Cecyli i życzliwość dla ciebie nie powinien był ci odmawiać gdy oświadczyłeś się o jej rękę, dodała śmiejąc się przechylona nad poręczą schodów, po nad któremi stała ze świecą w ręku.—No, dobranoc kuzynie, jeźli małej jutro nie będzie lepiej, dam ci znać niezwłocznie.

Drzwi od sieni się otwarły i doktór znów znalazł się na ulicy na deszczu i wichrze.

Dom do którego zmierzał obecnie, różnił się bardzo od tego w którym mieszkała czasowo lady Vivian. Jest to wielki pałac którego główna fasada ozdobiona jest wielkim eleganckim portykiem, a wspaniały, szeroki peron prowadzi do drzwi jego. Doktór przeszedł schody i zadzwonił. Jeden służący natychmiast drzwi otworzył, drugi pośpieszył, zdjąć z niego przemokły paltot, trzeci poprowadził go na pierwsze piętro.

Pałac ten był własnością pana Beaudere, powszechnie szanowanego i bardzo bogatego; ale że nie ma na ziemi doskonałego szczęścia, więc i ten milioner nie mógł stanowić wyjątku. Miał jednę tylko córkę i ta od pewnego czasu utraciła zdrowie i wesołość właściwą swemu wiekowi.

(d. c. n.)

Opis do N-ru 34.

(*Dokończenie*).

N. 48. Suknia z długim stanikiem z baskiną.

Rycina 48 przedstawia efektowne zestawienie gładkiego granatowego perkalu, z deseniowym w pasy tureckie. Na garnirunek użyta koronka 5 cent. szeroka, plisowana drobniutko. Spódnica której przód i boki fałdowane są poprzecznie, ma u dołu plisowanie 6 cent. szerokie oszyte koronką, wyżej zaś wolant 16 cent. szeroki, oszyty plisą deseniową 3 cent. szeroką i przemarszczony w nagłówek. Przedni bryt tuniki upiętej wprost na sukni, oszyty u dołu koronką liczy 95 cent. długości; z boków sfałdowany jest do 52 cent. Bryt upięty z tyłu jest 116 cent. długi a 8½ cent. szeroki. Stanik z baskiną liczy z przodu 66, z tyłu 71 cent. u dołu objęty wypustką i oszyty plisą 4 cent. szeroką.

Kołnierz i mankiety z deseniowego materjału garnirowane koronką.

Opis do N-ru 35.

N. 1 i 18. Ubranie podróżne „*Costume capucin*" Krój na arkuszu z formami N. VIII. Fig. 39—43.

Batyst écru, płótno granatowe, satynka bez albo alpaga, zarówno służyć mogą na zręczne podróżne ubranie, złożone z krótkiej fałdowanej spódnicy i vêtement krótko podpiętego, w plecach w szeroką kontrafałdę założonego przyozdobionego jedynie ładnemi guzikami i grubemi sznurami, albo wypustkami z materji kolorowej z której dana jest podszewka w kapturek i wyłogi przy rękawach. Pelerynka i kapturek są razem w pasek wszyte a z przodu na sznury z kwastami wiązane, lecz do vêtement nie przyczepione, ażeby *table d'hôte* można było zastąpić je chusteczką z muślinu albo *surąch*. W pasie vetement może być paskiem przepasane albo sznurem przewiązane. Formę pelerynki kapturka i rękawów przy ręce rozszerzonych, razem z wyłożeniem krajanych, dajemy na Fig. 40 do 43, vetement można podług każdej dobrej formy stanika z baskiną, albo podług stanika do ryc. 17 i miar podanych na małem modelu Fig. 39, z łatwością dopasować. Kontrafałdę na środku pleców zeszywa się od spdu aż do wcięcia w pasie, fałdyde podpięcia tuniki oznaczone są na fig. 39.

N. 2. Ubranie dla dziewczynki lat 6—9.

Sukienka z długim bluzkowym stanikiem i fałdowaną spódniczką, zrobiona była z szafirowego, gładkiego kretonu mankiety i plisy przy środkowej kontrafałdzie stanika z jaśniejszego, deseniowego kretonu. Pasek ze wstążki związana z boku na kokardę; chusteczkowy kołnierz zrobić podług opisu do ryc. 27 w N. 34, dopasowawszy wielkość podług wzrostu.



N. 1. Ubranie podróżne. „Costume capucin". Patrz ryc. 18. Krój N. VIII fig. 39—43.

N. 2. Ubranie dla panienki lat 6—9.

N. 3. Ubranie ranne.

N. 3 Ubranie negliżowe.

To gustowne negliżowe ubranie może być odrobione z gładkiego, jasnego surah, indyjskiego kaszmiru, z materjału w guście tureckim, z materji, lub też z satynki-alpagi i t. p. Na wyłogi, garnirunek dolny i wachlarzowe ubranie przodów w miejsce koronki użyć można materji lub atłasu. Batystową spódniczkę suto zagarnirowaną z przodu falbankami z marszczonej koronki, zastąpić może spódniczka muślinowa lub batystowa ubrana garnirowaniem albo skośnemi falbankami z tego samego materjału, lub ozdbiona haftem białym albo krzyżykowym.

N. 4—5. Talerz na bilety wizytowe.

Rysunek trawiony na cynie lub miedzi. Grunt pod materjał trawiący stanowi mięszanina z 2 części asfaltu 1 części bardzo miałko zproszkowenej kalafonii, 1-ej żółtego wosku, w małym tygielku na słabym ogniu nieustannie mięszana i w rzadką łatwo dającą się rozprowadzić masę zmieniona. Ciecz trawiąca składa się z 3-ch części wody dystylowanej, 1 części kwasu saletrzanego i trochę chlorku wapna. Przyrządy potrzebne stanowi cienki stalowy rylec, mały pendzelek do farb, olejek terpetynowy woda dystylowana, mydło do czyszczenia srebra, bibuła, tafelka szklana i skóra miękka do wycierania.

Szczegółowy opis roboty podaliśmy w ostatnim kwartale roku zeszłego i przy ryc. 34 w N. 1 z r. b., dla nowych naszych prenumeratorek dodamy niektóre objaśnienia. Model talerza do biletów miał 28 cent. średnicy wrąb 4 cent. szeroki zdobiły liście, na dnie w otoczeniu z liści i kwiatów dany w środku orzeł, herb lub ozdobny monogram na tle nakrapianem. Główne kontury deseniu podanego na fig. 27a i b rysuje się za pomocą kalki na talerzu cynowym, następnie rysunek pociąga się cienkim pendzelkiem, mięszaniną grunt stanowiącą, równo, dość grubo lecz ostrożnie, ażeby za brzegi konturów nie wychodzić, a gdyby się to przytrafiło trzeba starannie skrobać, cienko zastruganem drewienkiem. Mięszaninę gruustanowiącą najlepiej dniem naprzód przysposobić, a jeżeli po przestudzeniu okazała by się za gęsta albo grubkowata to trzeba do niej dodać trochę olejku terpentynowego z którym ją na płycie szklanej wałeczkiem od farb rozetrzyć. Do pokąd grunt jest jeszcze wilgotny robi się odręcznie cienkim rylcem albo igłą w szydełko osadzonej wszelkie żyłki. Gdzie tło ma być nakrapianym daje się na nim odręcznie drobne kropki masą grunt stanowiącą. Gdy grunt zupełnie wyschnie zanurza się talerz w wodzie gryzącej czyli trawiącej na $1^1/_2$—2 godzin, które są dostateczne do wygryzienia wszystkich miejsc które nie są masą powleczone, tak że deseń pozostaje wypuklejszy a tło nieco wklęsłę. Talerz wyjęty z płynu trawiącego płucze się do czysta w wodzie dystylowanej wyciera bibułą nie naruszając powłoki na deseniu którą dopiero po godzinie suszenia czyści się olejkiem terpentynowym a cały talerz myje się mydłem od oczyszczenia srebra, wyciera bibułą i miękką skórką. Pendzelki podczas i po robocie, czyści się terpetyną.

N. 6—7. Długa sukienka dla niemowlęcia. Krój N. X Fig. 49—53a.

Przód sukienki jest wązki wcinany, a plecy ułożone w kontrafałdy, przestębnowane w pasie, szarfy 120 cent. długie a 18 szerokie, w górze do 4 cent sfałdowane, wszywają się między szew boczny z plecami i wiążą na kokardę; stanik zapina się z tyłu pod fałdą. Formę trzeba od dołu podług podanych miar przedłużyć i rozszerzyć. Model do ryc. 6 odrobiony był z batystu i ubrany koronką cienką nicianą, 5 cent. szeroką i wstawkami gipiurowemi, których deseń dajemy na ryc. 10—11 i N. 36. Z przodu podaną na ryc. 7 sukienkę z piki białej, zdobiły 3 cent. szerokie falbanki z kolorowym haftem 1 cent. szerokie pikowe bórty i z przodu na tle sukienki krzyżykami wyszyte kolorowe gałązki.

N. 8—9 i ryc. 33 w N. 36 **Serweta** do przykrycia stołu.

Aplikacja na brokateli. Deseń na arkuszu z krojami Figura 60.

Brokatela w lekkim gatunku w kolorze żółtawo piaskowym albo bladym *vieil-or*, najlepiej nadaje się do wszelkich kolorów aplikacji, na które użyć można aksamitu i jednostajnym kolorze albo różnych resztek aksamitu i materji ciężkich, których odmienne kolory muszą jednak być harmonijnie dobrane. Szlak do serwety ryc. 8 układany był z powtarzanych pojedyńczych figur, których model d a j e m y w naturalnej wielkości na ryc. 9 model rzuciku przedstawia Fig. 60. Do aplikacji użyte były kolory dwa zielone, czerwone, bronzowy i blado niebieski Kawałki materji aksamitu smaruje się z lewej strony gęstym klajstrem podklejając papierem, suszy, wycina i przykleja do tła; następnie brzegi figur mocuje się filozelą w takich samych kolorach w bledszym cieniu, której nitk w całej grubości otaczają brzegi, przeszywane poprzecznemi ściegami jedwabiu. Brzegi serwety oszyte 7 cent. szerokim pasem atłasu, na którym wyszyty jest na tle serwety szlaczek podany w naturalnej w elkości na ryc. 33 w N. 36. Brzegi szlaczku naszyte są prosto dwoma rzędami sutaszu jedwabnego ciemno drzewnego koloru między którmi robione są zupełki blado niebieskim jedwabiem kordonkowym. Środek deseniu wyszyty cienkim jaśniejszym sznureczkiem przeszywanym jedwabiem ponsowym gwiazdki wyszyć ponsowym a długie potrójne ściegi jedwabiem niebieskim.

N. 12—13. Kurtka do gimnastyki dla chłopczyka lat 6 do 9. Krój N. IV Fig. 19—23

Na arkuszu z krojami do N. 31 i 32 podaliśmy dwie różnej wielkości formy majtek i stanika pod spód dla chłopców, dziś więc tylko dajemy kurtkę zastosowaną głównie do gimnastyki, do której całe ubranie robi się zwykle z dreliszku lub płótna kolorowego z wypustkami lub wyłogami odmiennego koloru, albo z paru rzędami stębnówki. Model był z dreliszku w paski białe i niebieskiemi wypustkami, kołnierzem patkami przy kieszeniach a mankiet odznaczony jest pliską 2 cent. szeroką.

Części kamizelkowe robi się oddzielnie na podszewce i przystebnowywa do brzegu przodów.

N. 14—27. Poduszka do kanapy.

Haft kolorowy z aplikacyją aksamitu. Deseń środkowy na dodatku z krojami Fig. 58.

Na tle z sukna ciemno-oliwkowego naszyte są szlaki z aksamitu druko-



N. 4. Talerz na bilety wizytowe. Wygryzanie serwasem



N. 5. Brzeg talerza ryc. 4. Wielkość naturalna.

na cynie Patrz ryc.

szu z formami fig.

wanego w deseń kolorowy, krzyżujące się w rogach, i stanowiące ramę około środkowego haftu, do którego połowę deseniu dajemy na



N. 6. Sukienka dla niemowlęcia. Przód ryc. 7. Krój N. X Fig. 49—53.

Fig. 58. Deseń podany na ryc. 22 w N. 30, stanowi arabeskę po za ramą, tam także wskazane są rodzaje ściegów. Na ryc, 14 widzimy próbkę aksamitu drukowanego i rodzaje ściegów Główne kontury obwiedzone są zło-

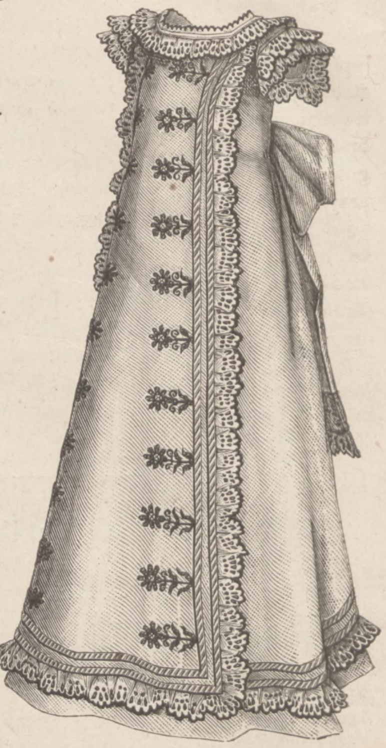
tem kordonkiem do haftu użyte różne kolory filozeli zastosowane do kolorów aksamitu. W środkowym hafcie i arabesce użyte są kolory herbaciano zielone, dwa cienie brunatne, dwa ponsowe, dwa srebrno popielate i 3 niebieskie. Złoty kordonek odznaczający kontury przyszywany jest nieznacznie jedwabiem złotego koloru.

N. 16. Ranny czepeczek z kokardami z koronki.

5 i deseń na arku-

27a i 27b.

Fason czepeczka stanowi pasek sztywnego tiulu 3 cent. szeroki a 53 długi, którego brzeg górny w środku z tyłu założony jest w 5



N. 7. Sukienka dla niemowlęcia. Plecy ryc. 6.

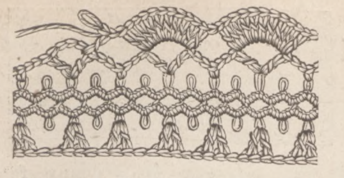
płaskich do dołu rozszerzających się fałd, a środek zapełnia kółko tiulowe, mające 25 cent. średnicy. Zewnętrzny brzeg paska ogarnirowany jest lekko przyfałdowaną koronką alansońską, zwierzchu na czepeczku



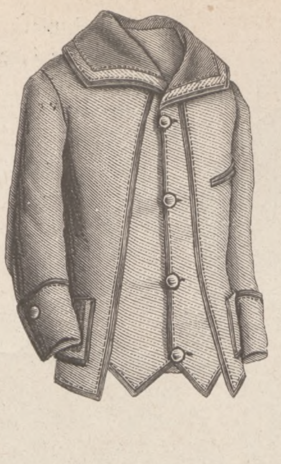
N. 8. Serweta do przyηryeia stołu. Aplikacja na brokateli. Jedna figura Aplikacja w naturalne wielkości ryc. 9. Szlaczek ryc. 33 w N. 36, rzucik na tle na arkuszu z formami fig. 60.



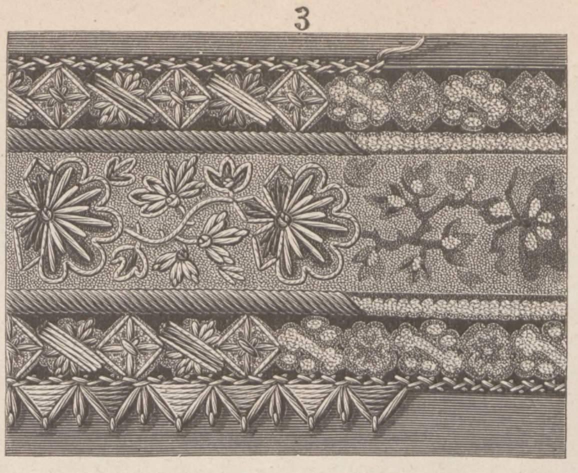
N. 9. Deseń aplikacji do serwety ryc. 8.



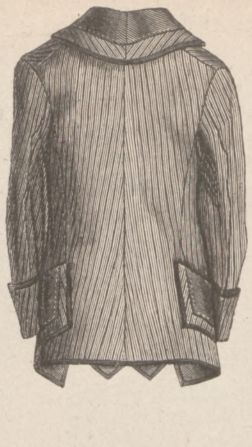
N. 10. Koronka szydełkowa przy torsadzce z pikotami.



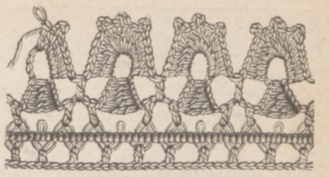
N. 12. Kurtka do gimnastyki dla chłopca lat 6—7. Plecy ryc. 13 krój N. IV fig. 18 - 23.



N. 14. Szik do poduszki n. kanapę ryc. 27. Haft różno kolorowy naaksamicie.



N. 13. Kurtka do gimnastyki dla chłopca lat 6—8 Przód ryc. 12.



N. 11. Koroneczka szydełkowa z mignardise.

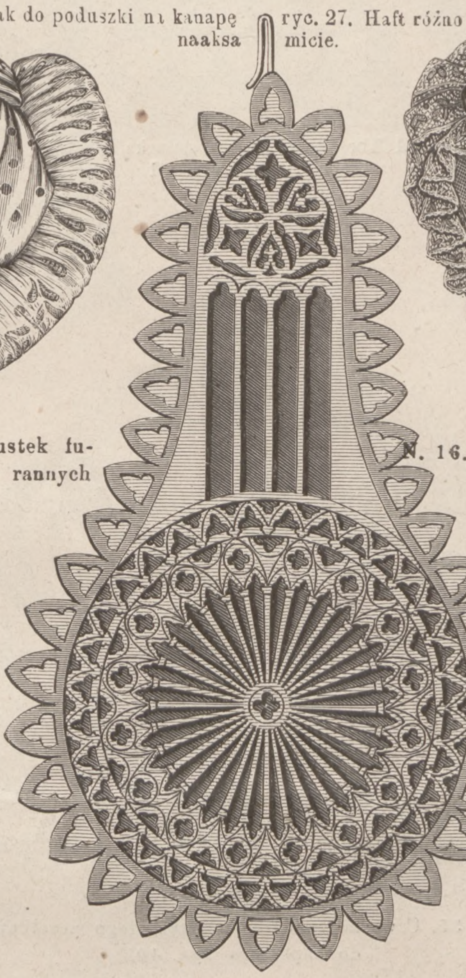
upięta jest trójkątna chusteczka, z surowej białej materji, mająca w prostych brzegach po 28 cent. długość, i której skośny brzeg przyfałdowany przyszywa się z przodu do czepeczka, proste brzegi są do środka trochę skośnie podłożone a górna 8 cent długości okrągła w odcięty i do paska z tyłu przyczepiony. Kokardy z koronki środkiem zeszytej, przepięte węzłem i materji dopełniają ubranie czepeczka z przodu.



N. 15. Kapelusz z chustek fularowych do spacerów rannych



N. 16. Czepeczek negliżowy z kokardami z koronki.



N. 20. Zasłonka z kolorowéj tekturki do zawieszania na lampie. Patrz ryc. 21. Forma i deseń na fig. 28.

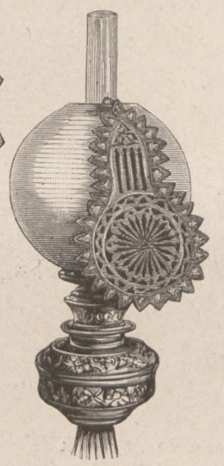
N. 17 i ryc. 40 w N. 36. **Suknia** ze stanikiem z długą baskiną. Krój N. I Fig. 4—8. Model sukni z cienkiego wełnianego materjału w dzikim kolorze przybrany był atłasem i wstążką takiego koloru. Plecy stanika mają baskinę w kontrafałdy założoną, a do przodów od wcięcia wstanie dana część plisowana z atłasu, zakończona u dołu wązką plisowaną falbanką, która dana jest przy całej baskinie nad falbanką i wzdłuż przodów naszyta plisa atłasowa $4\frac{1}{2}$ cent. szeroka. Kołnierz zrobiony z pro-



N. 17. Ubranie ze stanikem z baskiną. Patrz ryc. 40 w N. 36 i fig. 8 na arkuszu z krojami. Krój N. I fig. 1 do 8.



N. 19. Pugilares na kartki i marki pocztowe. Deseń hawtu na figurze 63.



N. 21. Zasłonka z tekturk zawieszona na lampie.

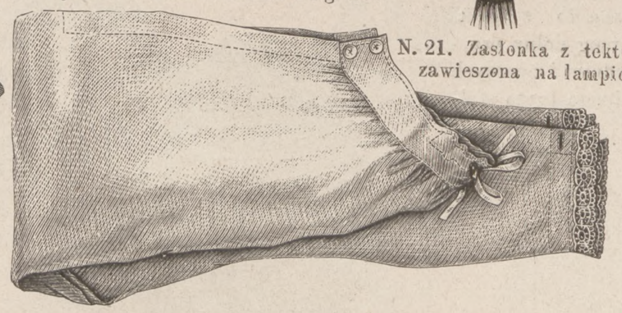
stego 5 cent. szerokiego kawałka tego co suknia materjału, oszytego szwem odwracanym 6 cent. szerokim pasem atłasu, plisowanego i przeszytego w górze rulonikiem atłasowym. Pasek z wstążki atłasowej 7 cent. szerokiej związany z boku na kokardę. Krótka spódnica podana z boku na Fig. 8, ozdobiona jest u dołu garnirunkiem 66 cent. szerokim, złożonym z bufek i falban w kontrafałdy układanych, oszytych plisą atłasową. Draperję górną układa się z jednego długiego bryta, którego połowę z oznaczeniem miar i fałd, dajemy w zmniejszeniu na Figurze 7. Najpierw naszywa się na nim plisę atłasową. Draperję górną układa się z jednego długiego bryta, którego połowę z oznaczeniem miar i fałd dajemy w zmniejszeniu na Fig. 7. Najpierw naszywa się na nim plisę atłasową 13 cent. szeroką widoczną na ryc. 17, daje się w górze zaszewki wskazane fig. 7 i oznaczone po za niemi fałdy, a potem



N. 18. Ubranie podróżne. Zobacz przód na ryc. 1.



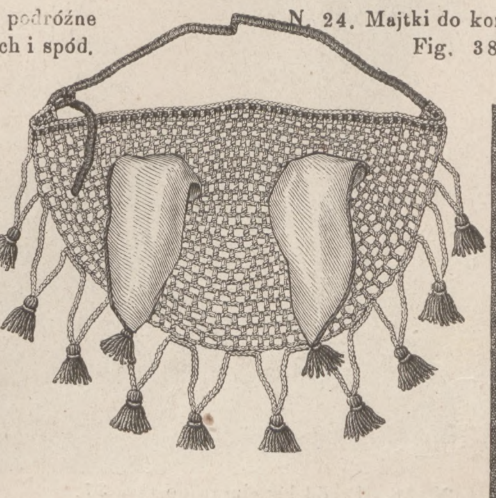
N. 22 i 23. Rękawiczki podróżne albo do konnej jazdy. Wierzch i spód.



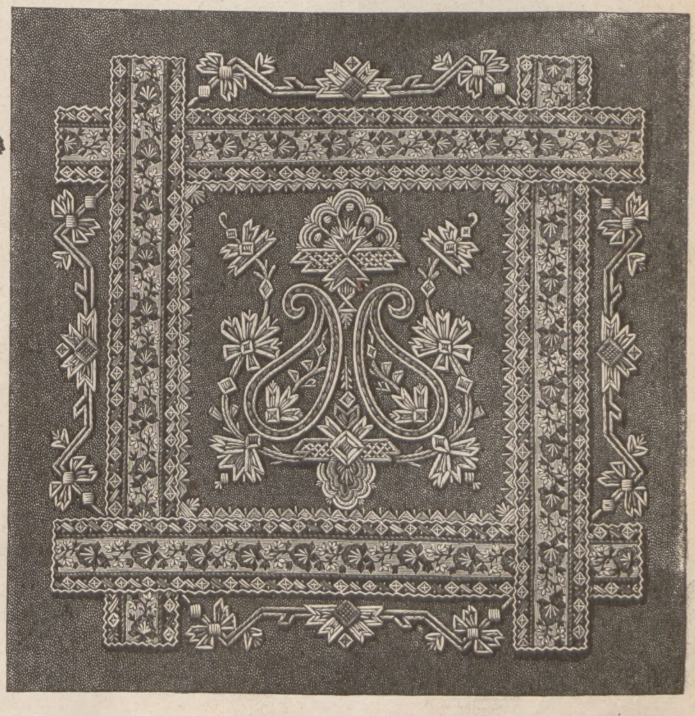
N. 24. Majtki do konnej jazdy. Krój N. VII Fig. 38—38a.



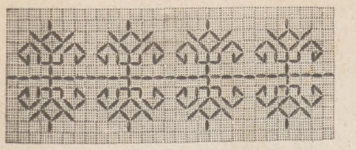
N. 26. Poduszka do kanapy. Robota krzyżowa na niepodzielanej kanwie.



N. 25. Zasłonka od much dla koni powozowych. Robota szydełkowa z szarych mocnych nici lub białej bawełny. Forma uszu płóciennych N. XIII fig. 57.

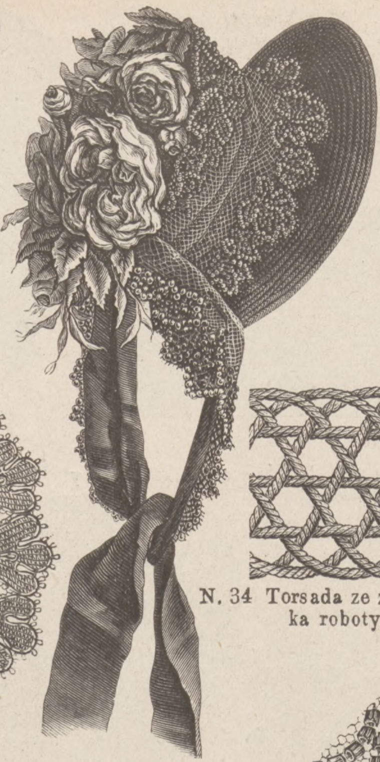


N. 27. Poduszka do kanapy. Haft kolorowy z aplikacją aksamitu. Szlak na ryc. 14 deseń środkowy na arkuszu z formami fig. 58.

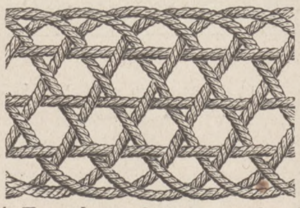


N. 28. Szlaczek wyszyty pojedyńczymi ściegami do sukienek dziecinnych lub do bielizny.

brzeg górny przyszywa się na spódnicy aż do gwiazdki w odstępie kilku cent. od paska. Od 1-ej do 2-ej gwiazdki zaskłada się z każdej strony w pukiel spuszczony, a zbywającą długość od krzyżyka do kropki przyszywa się szwem odwracanym po brzegach rosporka w spódnicy. Boczne brzegi bryta podług znaków zfałdowane do 36 cent. długości, zeszywają się o tyle ze sobą, brzeg dolny przyszywa się szwem odwracanym, na przednim i bocznych prytach gładko nadgarnirunkiem, a do tylnego bryta sfałdowany.



N. 37. Kapelusz słomkowy z denkiem pokrytem różami. Patrz przód na ryc. 38.



N. 34 Torsada ze złotego sznurka. Próbka roboty na fig. 61.

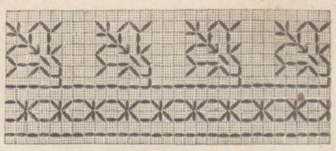


N. 36. Kapelusz słomkowy z główką atłasową wyszytą perełkami. Deseń rzucika na ryc. 30.

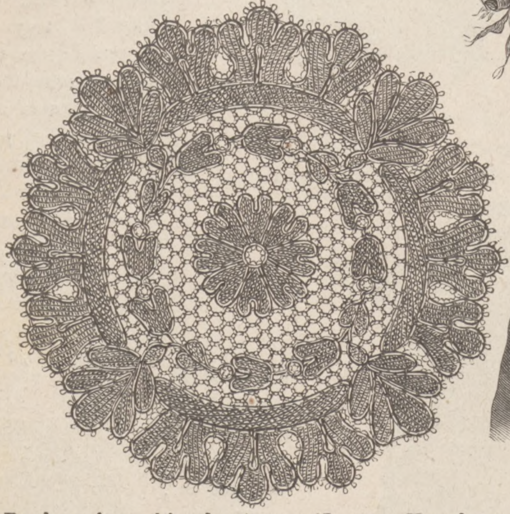
N. 19. Pugilares na karty i marki pocztowe.

Deseń do haftu na fig. 63 ryc. 19 przedstawia składny pugilares podróżny na karty, marki i papier pocztowy odrobiony z czarnej skórki i zawierający najpotrzebniejsze przyrządy do pisania listu. Część dolna zawiera karty pocztowe przytrzymane elastyką; w górnej jest kieszonka na papier i marki. Wewnętrzna część pokryta jest materją ponsową, na której haftuje się gołąbka lub monogram, dwoma nitkami filozeli. Na modelu gołąbek był bronzowy do cieniu, liście zielone a list biały.

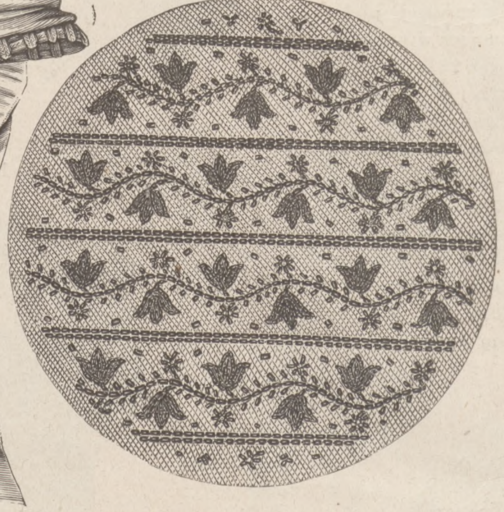
(Dokończenie nastąpi)



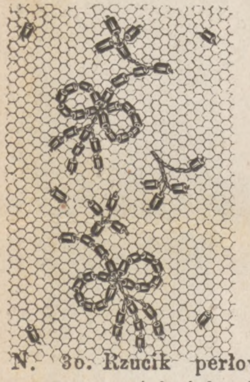
N. 29. Szlaczek do bielizny fartuszków lub t. p.



N. 31. Denko z koronki złotej do kapelusza ryc. 40.



N. 32. Denko wyszyte perełkami, do kapelusza ryc. 40. Próbka deseniu w naturalnej wielkości na ryc. 33.



N. 30. Rzucik perłowy wyszyty na tiulu lub atłasie na denka do kapelusza ryc. 36.



N. 35. Czwarta część denka wyszytego perełkami do kapelusza ryc. 40.



N. 33. Próbka roboty i deseniu do ryc. 32.



N. 39. Kapelusz słomkowy ubrany złotą koronką.



N. 38. Przód kapelusza do ryc. 37.



N. 40 Kapelusz bastowy z denkiem pokrytem tiulem wyszytym perełkami. Patrz ryc. 32 i 35.

TYGODNIK MÓD.

w Warszawie 1880 r.

Dodatek z krojami i deseniami do N. 35 i 36.

N I. Stanik z baskiną i draperja do spódnicy do ryc. 17 w N-rze 35 i 40 w N. 36. Miara połowy górnej szerokości 50 w pasie 34 centymetry.

Fig. 1. Przodek (A, B, J, K, L, jedno załamanie formy) ~~~~~
Fig. 2. Boczek do przodu (A, B, C, D) +++++++
Fig. 3. Boczek do pleców (C, D, E, F 1 załamanie formy) —•— —•—
Fig. 4. Pierwsza część pleców (E, F, G, H, K) —— • —— •
Fig. 5. Środkowa część pleców (G, K, J, ✕ 1 i • 1) —— - —— -

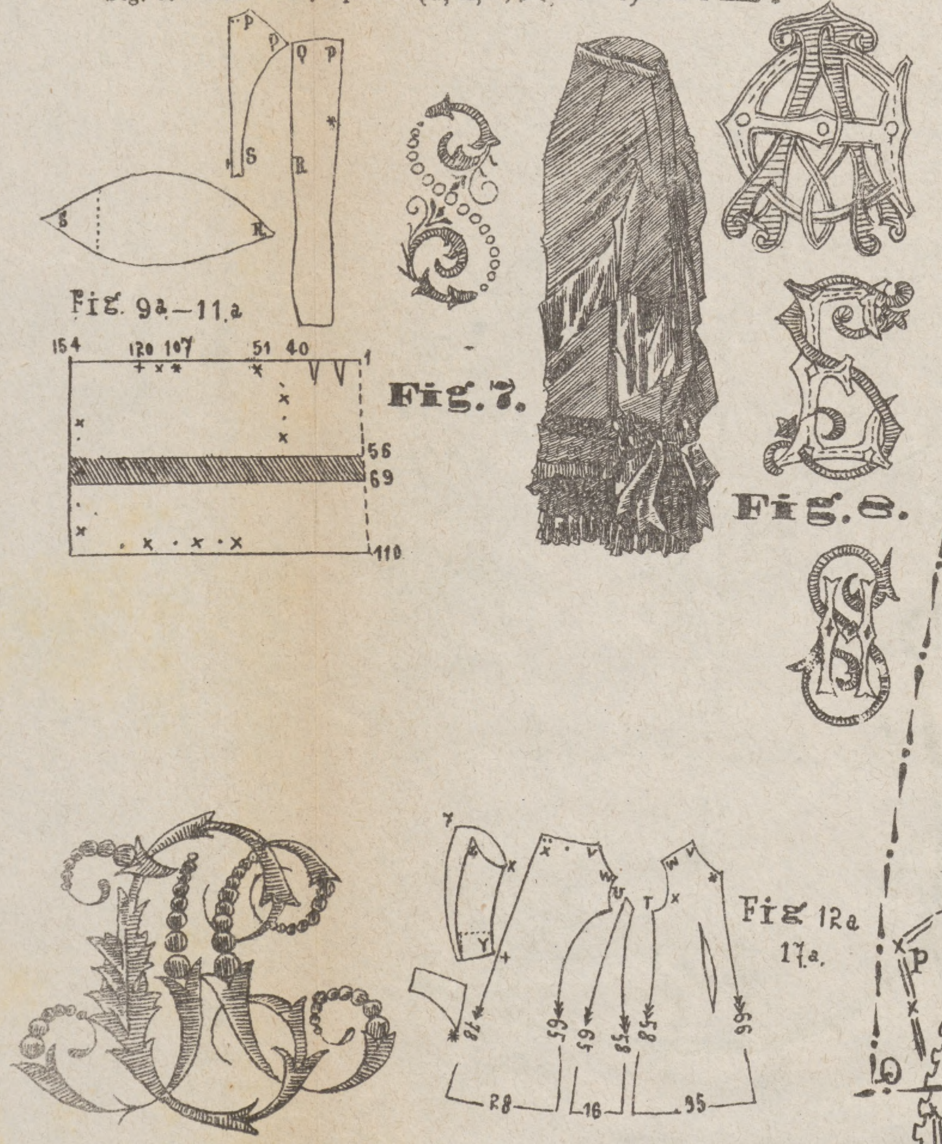


Fig. 6. Rękaw (L, M, N, O)
Fig. 7. Model i miary draperji.
Fig. 8. Spódnica z draperją przedstawiona z boku

N. II. Mantyla z pelerynowemi rękawami. Rycina 37—38 w Nr. 38

Fig. 9. Przód (P, Q, R, *, jedno załamanie formy) —— • ——
Fig. 10. Połowa pleców (P, Q, S, :) — ✕ — ✕ — ✕
Fig. 11. Rękaw pelerynowy (R, S, jedno załamanie)
Fig. 9a—11a. Zmniejszony rysunek wszystkich części formy do ryc. 37—38 w N-rze 36.

N. III. Vêtement do ubrania dla dziewczynki lat 7—9. Rycina 3—4 w N-rze 36.

Fig. 12. Przód (T. V, W, X, * 1)
Fig. 13. Boczek (T, U) — o — o —
Fig. 14. Plecy (U, V, W, :, +) — * — * —
Fig. 15. Rękaw (X, Y, Z, ·)
Fig. 16. Połowa mankieta (y, ·) * * * *
Fig. 17. Połowa kołnierza (:, *)
Fig. 12a—17a. Zmniejszony rysunek formy do ryc. 3—4 w N-rze 36.

N. IV. Kurtka do gimnastyki dla chłopczyka lat 6—8. Rycina 12—13 w N-rze 35.

Fig. 18. Pierwsza kamizelkowa część przodu (a, b, k, ✕ · ✕ · ✕) ·✕·✕·
Fig. 19. Druga część przodu (a, b; c, d, e, f, ·, +, *, :, jedno załamanie formy)
Fig. 20. Połowa pleców (c, d, e, f, g, i)
Fig. 21. Rękaw (g, h)
Fig. 22. Kołnierz (i, k)
Fig. 23. Klapka do kieszeni (*, :)

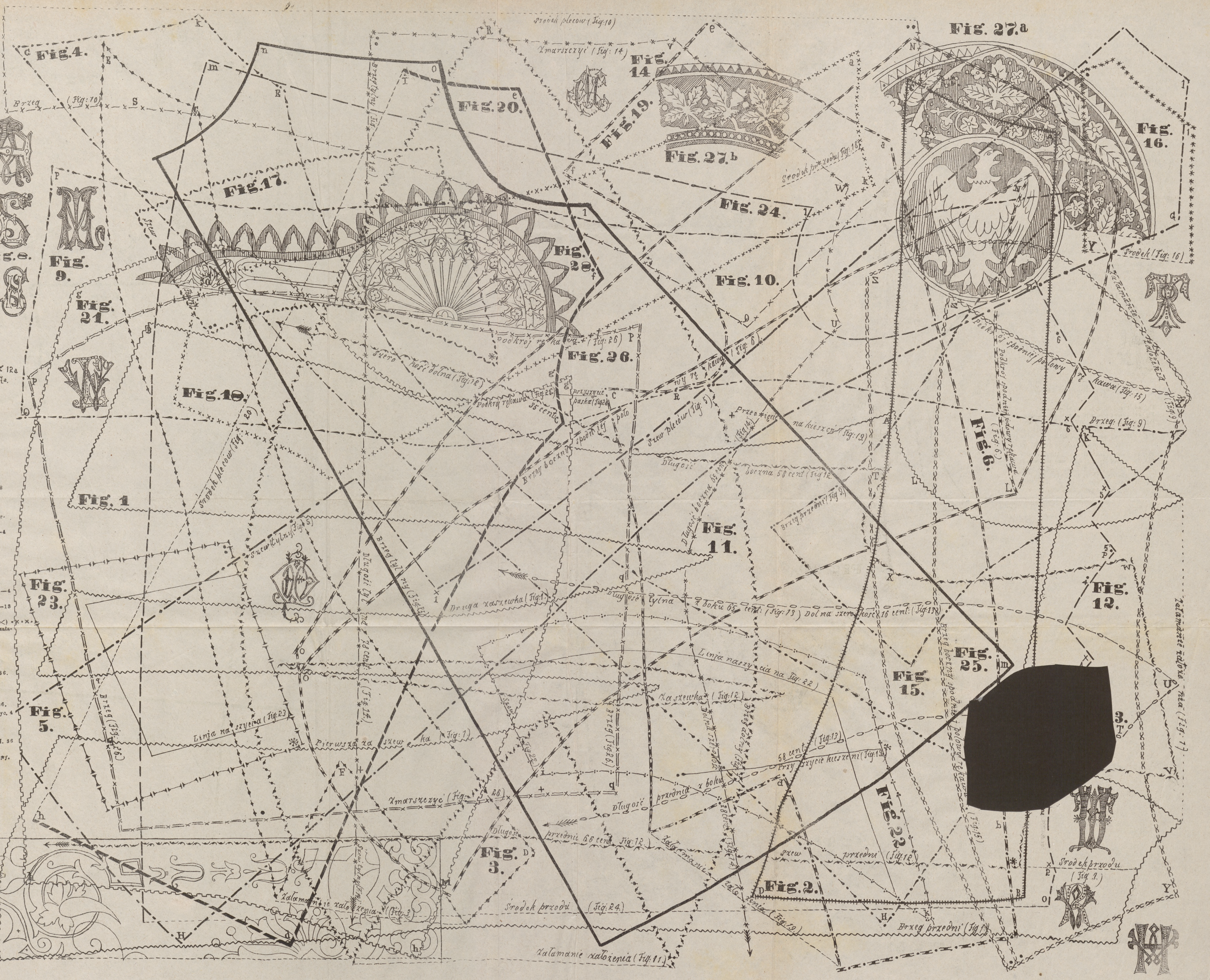
N V. Fartuszek bluzkowy dla dzieci. Rycina 28—29 w N-rze 36.

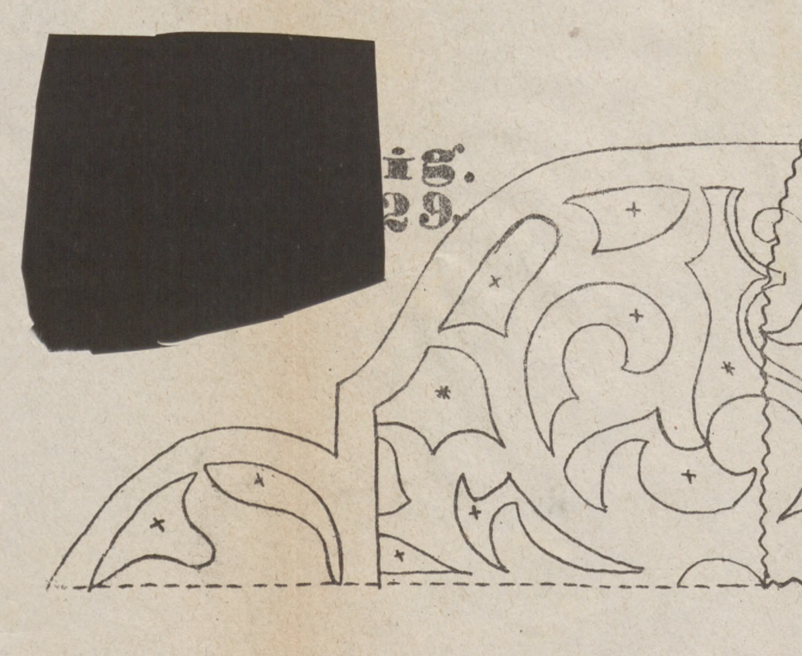
Fig. 24. Połowa przodu (l, m, n, o, *, :, +, 2 · 2 do + 6 · 6)
Fig. 25. Plecy (l, m, n, o)
Fig. 26. Rękaw (p, q, +, .) ═ ✕ ═ ✕ ═ ✕

Wzory do ryc. 4, 5, 20 i 21 w N-rze 35 i do ryc. 32 w N. 36.

Fig. 27a. 1/4 część deseniu do rysunku trawionego na talerzu ryc. 4 i 5 w N-rze 35.
Fig. 27b. Brzeg do talerza ryc. 4 i 5. Rysunek trawiony.
Fig. 28. Połowa zasłonki do lampy, ryc. 20 i 21 w N. 35.
Fig. 29. Połowa deseniu na skrzydło do parawanika ryc. 32 w N. 36 wyrzynanie piłką i malowanie na drzewie.

Ozdobne monogramy do znaczenia bielizny. Haft biały i kolorowy.





Dodatek z krojami i deseniami do N. 35 i 36.

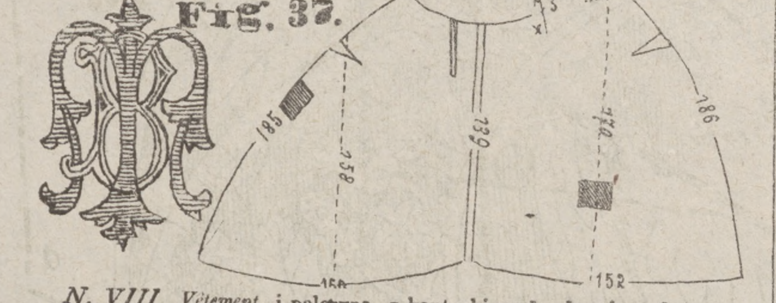
N. VI. Amazonka ryc. 9 i 39 w N-rze 36. Miara połowy górnej objętości stanika 48, w pasie 29 centy.

Fig. 30. Przodek (A, B, E, L, M, N, R)
Fig. 31. Boczek do przodu (A, B, C, D)
Fig. 32. Boczek do pleców (C, D, F, G) — * — * —
Fig. 33. Baskina (E, F)
Fig. 34. Plecy (F, G, H, J, K, L, M, *)
Fig. 35. Rękaw (N, O, P, Q)
Fig. 36. Połowa paska do kołnierza (J, R)
Fig. 37. Model kroju i miary spódnicy *a* część przednia *b* część tylna.

N. VII. Majtki do konnej jazdy, ryc. 24 w N. 35.

Fig. 38A. Górna część majtek (S, U, W, X, Y, *, :)
Fig. 38B. Dolna część majtek (F, V, *, :)
Fig. 38a. Zmniejszony rysunek zestawionych części formy z oznaczeniem linji jej przecięcia.

Fig. 37.



N. VIII. Vêtement i peleryna z kapturkiem do ubrania podróżnego Rycina 1 i 18 w N-rze 35.

Fig. 39. Zmniejszony model i miary vêtement *a* połowa plastrona *b* przód i boczek, *c* pierwsza część pleców i *d* środkowa część pleców
Fig. 40. Rękaw (a, b, c, d jedno załamanie formy)
Fig. 41. Część przednia peleryny (e, f, k) ○ ○ ○ ○ ○
Fig. 42. Połowa pleców (e, f, i) + + + + +
Fig. 43. Połowa kapturka (g, h, i, k, × 1 · 1 do × 2 · 2) — ○ —

N. IX. Stanik do ubrania dla małego chłopczyka. Ryc. 30 31 w N- 36.

Fig. 39.

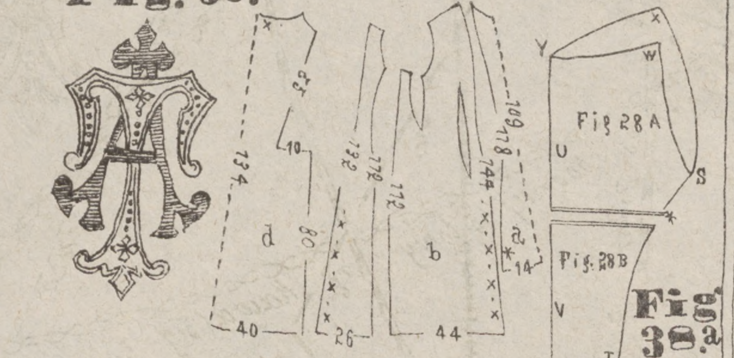


Fig. 38a

Fig. 44. Przód (l, m, n, c, p, u)
Fig. 45. Połowa pleców (l, m, n, o, t)
Fig. 46. Rękaw (p, q, r. s)
Fig. 47. Połowa obłożenia do rękawa (q, s) * * * *
Fig. 48. Połowa marynarskiego kołnierza (t, u) × · × · × ·

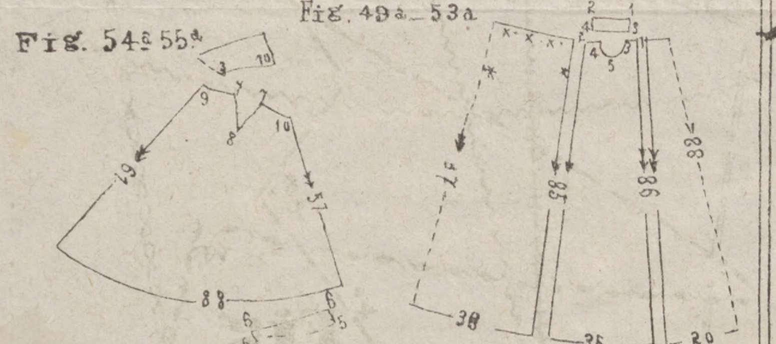
N. X. Sukienka dla dziecka, Rycina 6—7.

Fig. 49. Połowa przodu (l) ═ × ═ × ═ ×
Fig. 50. Boczek (1, 2, 3, 4, 5)
Fig. 51. Połowa pleców 2, *, ×, 3, · 3 do × 6 · 6)
Fig. 52. Ramiączko (1, 2, 3, 4) ⌒ ⌣ ⌒ ⌣
Fig. 53. Rękaw (5, 6) — × — × — × —

Fig. 49a—53a. Zmniejszony model całej sukienki.

Fig. 54a 55a

Fig. 49a–53a



N. XI. Pelerynka do sukienki dla niemowlęcia. Rycina 8 w N-rze 36

Fig. 54. Połowa pelerynki (7, 8, 9, 10)
Fig. 55. Połowa wykładanego kołnierza (9, 10)

Fig. 54a—55a. Zmniejszony rysunek całej formy.

N. XII. Gors do mężkiej koszuli. Rycina 10—11 w N-rze 36.

Fig. 56. Połowa szmizetki (*, :) —— —— ——

Fig. 61

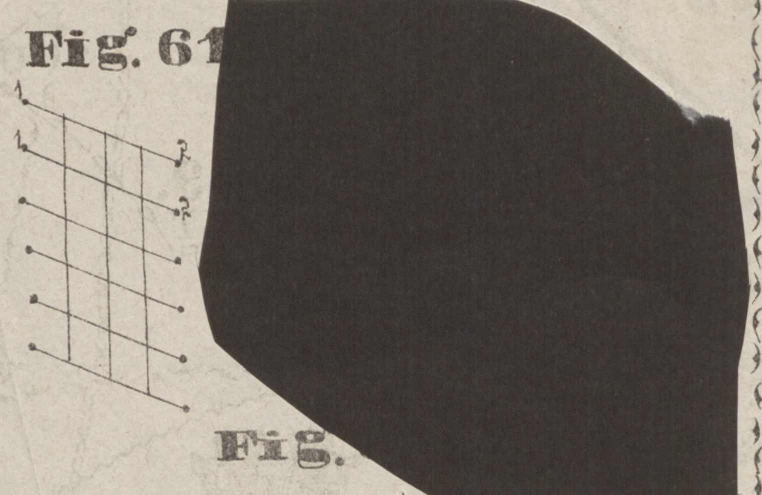


Fig.

N. XIII. Zasłona do much dla koni powozowych. Ryc. 25 w N. 35.

Fig. 57. Połowa ucha

Wzory do NN, 8, 9, 19, 14, 27 i 34 w N. 35 i do 7, 26, 27 i 33 w N-rze 36.

Fig. 58. Połowa środkowego desenia do poduszki ryc. 14 i 27 w N. 35
Fig. 59. Szlak do sakiewki na robotę; ryc. 26 i 27 w N. 36.
Fig. 60. Gałązka do aplikacji na tle do serwety ryc. 8 i 9 w N. 35.
Fig. 61. Wskazówka roboty torsadki ryc. 34 w N. 35.
Fig. 62. Połowa czepeczka dla piastónki. Ryc. 7 w N. 36.
Fig. 63. Gołąbek do haftu ściegiem dzierganym na przyrządzie do rozkładania kart pocztowych. Ryc. 19 w N. 35.

